



N^o 388.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 2 marca 1867 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM XV.

TREŚĆ NUMERU. Józef Żardecki (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Rozsądne dziewczę, poezya (z drzeworytem). — Gawędy ekonomiczne. — Noc, kopia z obrazu Marszewskiego (drzeworyt). — Wśród ciszy, poezya (z drzeworytem). — Przegląd piśmienniczy (dokończenie). — Najnowsze odkrycia wynalazki i spostrzeżenia naukowe (dokończenie). — Szkice z życia warszawskiego (drzeworyt). — Szachy. — Rebus. — Pierwsza Pacjentka. (Powieść) dokończenie. — Korespondencya Tygodnika Illustrowanego ze Lwowa. — Ze świata muzycznego. — Korespondencya od redakcyi.

Od redakcyi.

Tygodnik Illustrowany wychodzić będzie i nadal, w tym samym jak dotąd zakresie i pod takimiż warunkami.

Cena Tygodnika pozostaje ta sama, to jest w Warszawie:

rocznie . . .	rs. 8 kop. —
półrocznie . . .	„ 4 „ —
kwartalnie . . .	„ 2 „ —
miesięcznie . . .	„ — „ 67½

Na prowincyi i w Cesarstwie:

rocznie . . .	rs. 12
półrocznie . . .	„ 6
kwartalnie . . .	„ 3

z nadmienieniem, że prenumeratorowie z Cesarstwa, otrzymujący tylko sam Tygodnik, dopłacają za koperty od każdego egzemplarza rs. 2 rocznie. Jeśli zaś Tygodnik ma być wysyłany w kopercie innego pisma, to redakcyja uprasza o wyraźne wymienienie tego pisma przy nadsyłaniu pieniędzy.

Szanowni Prenumeratorowie na prowincyi zechcą zapisywać się wcześniej na właściwych stacyach pocztowych, od tego bowiem zależeć będzie głównie regularny odbiór pierwszych numerów kwartału.

Komplety Tygodnika, obejmujące 29 kwartałów w XIV tomach, mogą być nabywane w redakcyi, po cenie: tom Iszy (jako złożony z trzech kwartałów) rs. 6, tomy następne po rs. 4. Przesyłka tomów na prowincyę w Królestwie dopełnia się na koszt odbierającego; żądający z Cesarstwa dopłacają, stosownie do odległości, najwyżej rs. 1 do każdego tomu. Adres: Do Józefa Ungra, wydawcy Tygodnika Illustrowanego w Warszawie.

Józef Żardecki,

wzórowy nauczyciel elementarny.

Jeżeli profesorowie wyższych instytutów naukowych znajdują należne im poszanowanie u ludzi, niemniejsze powinni mieć uznanie i nauczyciele najniższych w rzędzie tych zakładów, tak zwanych szkółek początkowych, elementarnych; bo łatwiej podobno ziemię oczyszczoną uprawiać, jak pokrytą lasem lub kamieniami pod pług przygotować.

Zadanie i obowiązek nauczyciela elementarnego nie ogranicza się na samym podaniu dzieciom klu-

cza do nauki, to jest umiejętności czytania i pisania, ale warunkuje się pierwszym sercem i umysłu ukształceniem, to jest umiejętnym rozbudzeniem i przelaniem w dzieci głównych, niezbędnych zasad życia moralno-społecznego. Na tém to polega konieczny przymiot każdego w ogóle pedagoga, a w szczególności nauczyciela elementarnego.

Nauka, zawarta choćby w najpiękniejszym słowie, w zastosowaniu nie wyda pożądanego owocu, jeżeli nie poprze jej czyn, życie zgodne z wyznawaną zasadą. Od nauczyciela więc wymagamy zdrowego pojęcia rzeczywistego dobra społecznego, wraz z wysoką moralnością, która jest treścią, węzłem i szczę-

ś. p. Józefa Żardeckiego, nauczyciela szkoły elementarnej w Tarnogrodzie. (*)

Żardecki urodził się 17 marca 1781 roku. Młode jego lata przypadły na czas, kiedy akademię zamojską, po dwuwiekowym blisko istnieniu, 1784 r. zniesiono, a w jej miejsce, za staraniem ordynata hr. Andrzeja Zamojskiego, utworzonym zostało liceum, pod wieczystą kuratoryą ordynatów. W tém to liceum pobięrał nauki ś. p. Żardecki. Po zaszczytnym ukończeniu całego ich kursu 1800 roku, jako jeden z najpiękniejszych uczniów, powołanym został przez zwierzchność szkolną na kolaboratora do tegoż liceum, który to obowiązek z całą sumiennością i wielką dla uczących się korzyścią spełniał od początku 1805 r. Stanowisko to odkrywało mu pole do wyższych szczebli w hierarchii naukowej; ale ś. p. Żardeckiego powołanie w inną, mniejszą obszarem zwróciło sferę: wybrał sobie zawód nauczyciela elementarnego, którego obowiązki w mieście Tarnogrodzie od 1 lutego 1805 r. pełnił bez przerwy przez całe dalsze swe życie.

Zostający z nim w bliższych stosunkach, a nawet z daleka go znający, dziwili się niemało, jak człowiek z jego ukształceniem mógł dobrowolnie stanąć na stanowisku tyle ograniczonym. On sam tylko pojmował należycie wartość i wielkość obowiązków swoich, dla których godnego spełnienia nigdy ani na chwilę nie pomyślał, aby miał zawieść nauki.

Stanąwszy raz na stałe obranym przez siebie stanowisku, nie zeszedł z niego aż do śmierci. Ani 40 letnia przeszła najmoźniejsza praca, ani kilkakrotne wzywianie go przez władzę edukacyjną na nauczyciela do b. szkół: wydziałowej w Opolu, wojewódzkiej w Lublinie i przez kuratora szkoły imienia Zamojskich do b. szkoły wojewódzkiej szczebrzeskiej, ani nawet w końcu długie cierpienia fizyczne nie zdołały wydrzeć go szkole elementarnej, której mistrzem był doskonałym.

Wielka znajomość natury i umysłu dziecięcego, dziwna zdolność naginania się do pojęć wszystkich uczących się, powolne, ale ciągle i umiejętne budzenie do życia sił moralnych młodzieży, wszystko zaś to połączone z cierpliwością do nieopisania i nieprzebraną miłością, wypływającą z głębokiego religijnego usposobienia, oto niewyczerpane źródło zasobów, które mi jaśniało życie ś. p. Żardeckiego.

Aby lepiej poznać tę skromną ale niepospolitą postać nauczyciela, nie można poprzestać na samem skróceniu zalet jego pedagogicznych, trzeba najprzód ocenić go jako człowieka.

Dwie najgłówniejsze cnoty religijne: miłość Boga i bliźniego, w całej sile i piękności jaśniały w jego życiu. Radować się z wesołymi, pocieszać str-



JÓZEF ŻARDECKI. (Podług portretu familijnego).

ściem bytu społecznego.

Każdą gloszoną przez siebie maksymę moralną, powinien nauczyciel stwierdzać swoim postępowaniem, bo dzieci nie są usposobione do abstrakcyi, żyją przykładami i przykłady tylko najłatwiej naśladowują.

Zadaniem niniejszego pisma nie jest nakreślenie teoretycznego wzoru doskonałego nauczyciela, ale stawienie przed oczy czytelników, a głównie pedagogów, obrazu dobrego nauczyciela elementarnego, którego byłem niegdyś uczniem i patrzyłem na życie jego przez lat jeszcze kilkanaście po wyjściu z pod jego kierownictwa. Zamierzam skrócić biografią

(*) Tarnogród, miasto okręgowe, położone nad samą granicą Galicyi, w gubernii lubelskiej.

pionych, wspierać biednych, nieumiejętnych nauczać, dobrze radzić drugim, a to wszystko czynić z przekonania, z koniecznej potrzeby, z zaparciem się samego siebie, z ewangeliczną skromnością — było najważniejszym życia jego zadaniem.

Cały układ zewnętrzny tego człowieka, w zupełnej był zgodzie z wewnętrznymi przymiotami i z wyższym jego ukształceniem. Słodki, uprzejmy, wyrozumiały, wszystkich miał za sobą. Uczniowie kochali go i czcili jak ojca; matki widziały w nim największego dla swych dzieci dobroczyńcę, ojcowie najlepszego mistrza; światli oceniali wysokie jego zdolności; władza edukacyjna udzielała mu najchlubniejsze świadectwa. Sama nawet złość, zawzięcie i przewrotność ludzka nie miały siły w obecności i jako ciemność przed światłością pierzchały.

W domu ś. p. Zardeckich można było widzieć najlepsze ówczesne utwory piśmiennicze. Tu często całe długie wieczory jesienne i zimowe spędzano w małym, ale dobranym kółku, na czytaniu dzieł odnoszących się do religii, literatury i t. p. Sam ś. p. Zardecki, mimo szczupłych swych funduszy, miał własny, niewielki, ale doborowy zbiorek książek, w językach, ojczystym, łacińskim i niemieckim, które gruntownie posiadał. Czego zaś nie mógł kupić, to mu chętnie wypożyczali zamożniejsi, uposażeni w lepsze dzieła. Umysł więc jego nie gnuśniał, ale odżywał się postępową myślą ludzką, w różnych formach piśmiennictwa się przejawiająca.

Nietylko przecież ukształceńsi mieszkańcy miasta przyjemne chwile spędzali u Zardeckich, ale i okoliczni znajomi często się u nich zbierali. Pamiętam jak nieraz szczerze ich pomieszkanie, składające się z jednego wielkiego i drugiego małego pokoju, zaledwie zdołało pomieścić przybywających gości. Zapyta niejednego, jaki powab, mianowicie dla bogatszych, mógł mieć bardzo skromny dom nauczyciela szkoły elementarnej. Na to odpowiadam, że uprzejmość, z najwyższą delikatnością towarzyską połączona, obojga gospodarstwa, przytęm niezrównany takt w przyjęciu każdego, przy wielkich zaletach wewnętrznych, nadawały domowi temu wyższość moralną, która nadała mu siłę do podbijania serc ludzkich i zniewalania umysłów ku sobie.

Nad wszystkimi przymiotami Zardeckiego, górowała skromność nadzwyczajna i tak małe o sobie rozumienie, że gdy słyszał lub czytał udzielane mu już przez władzę edukacyjną, już przez rodziców i uczniów stojących na różnych stopniach w kraju pochwały, zwykle jakby upokorzony niemi, mawiał: „Przebóg! przyznajecie mi jakieś nadzwyczajne zasługi; a ja wam powiadam, że spełniłem tylko moje powinność.“

Przyjaźń uważał jako najdroższy skarb człowieka; niełatwo też wierzył zwodniczym oświadczeniom, długo poznawał i należycie oceniał ludzi, ale skoro raz nazwał się czyim przyjacielem, pozostał nim nazawsze. Patrzyłem na taką jego przyjaźń z moimi rodzicami i powiem szczerze, że drugiej podobnej nie widziałem już na świecie.

Dom miejski, przeznaczony na szkołę, po jednej stronie zawierał mieszkanie dla nauczyciela i jego rodziny, po drugiej wielką izbę, w której porą szczególnie zimową, zbierało się do 100 dzieci obojczy płci, różnych stanów, chrześcian i Żydów. Środkiem, pomiędzy ławkami po obu stronach ustawionymi, było przejście od drzwi wprost do katedry. Nad katedrą wisiał wielki krzyż z wizerunkiem Zbawiciela, co szkole nadawało pozór świątyni i zamieniało ją w kaplicę, zwłaszcza w czasie wielkich mrozów i słotnych dni, kiedy dzieci, nie mogąc iść do kościoła, pod przewodnictwem nauczyciela odmawiała tu pacierze i stosowne modlitewki.

Nic podobno moźolniejszego, jak uczenie liter i składanie zgłosek. Przy tej pierwszej nauce dawał ś. p. Zardecki najlepszy dowód znajomości dzieci i wielkiej dla nich miłości. Wyraz łagodności, a nawet szczęścia zajaśniał na całej jego twarzy, kiedy przystępował do pierwszej lekcji z uczniami, którzy pod kierunkiem biegłego pedagoga, tylko nową, nieznaną jeszcze znajdowali dla siebie zabawę. I rzeczywiście, pedagog elementarny tylko wtedy staje na właściwym stanowisku, kiedy mocą miłości przyciąga do swojego serca dzieci, budzi tym sposobem w umysłach ich zamiłowanie nauki. Pojętniejsi, jak zwykle,

w krótkim czasie robili znaczne postępy; tepszego umysłu sprostać pierwszym nie mogli. Na takich to jeszcze więcej zléwał uczuć swych nauczyciel. Wielka wyrozumiałość i zdolność pedagogiczna ś. p. Zardeckiego, i w tym razie miała zaradcze środki. Zadawał takim jaknajmniej i pilnie baczyl na to, aby dzieci nie były zmuszane do zbytecznego natężania umysłu i do długiej uwagi. Robił też częste dla nich wycieczki, a w porze cieplej pozwalał im wychodzić do ogródka. Aby wszakże dzieci należące do jednego oddziału, robiły przynajmniej w większej części jednakowy postęp, pracował sam moźolnie nad pojedynczymi, a nawet nie mało pozaplanowych godzin poświęcał dla nich. Gdy zaś niezawsze mógł sam wszystkiemu zadość uczynić, upoważniał starszych, roztropniejszych, do powtarzania z młodszymi tego, co im wyłożył.

Jakim był ś. p. Zardecki dla uczących się czytać i pisać, takim okazywał się i dla starszych. Wszystko czego uczniowie jego uczyli się na pamięć, starał się im tak objaśnić, tak przystępnie wyłożyć, że większa przynajmniej połowa zawsze dobrze rozumiała to czego się uczyła.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Dawno już Warszawa nie miała tak muzykalnego końca karnawału jak obecny, Koncerta Friemana na skrzypcach, koncerta Litolffa na fortepianie, zapowiedziany koncert na Przytulisko, wszystko to przypomina najświetniejsze czasy muzycznych rozrywek warszawskich. Głównie jednak przybycie Litolffa ożywczy wpływ wywarło na tutejszych artystów.

Człowiek bo też to dziwnego ustroju, obdarzony wyjątkową organizacją, człowiek co w muzyce tylko i dla muzyki żyje. Sztuka jest dla niego świętością. Kocha ją i wierzy silnie, że wszyscy muszą ją również silnie jak on lubować. Taka wiara potrzebną jest dla artysty, w przeciwnym bowiem razie traci zaufanie do słuchaczy, a to z konieczności i na niego oddziaływa. Litolff w młodym bardzo wieku zasłynął w świecie muzykalnym, bo dzieckiem prawie zyskał rozgłosną sławę wykonawcy. Dziś w Paryżu każde jego wystąpienie jest uroczystością muzykalną, a najznakomitsi mistrze chętnie zasięgają jego zdania.

Zdarzyło się że kilkanaście lat temu Vartel, słynny nauczyciel muzyki, przybył do Litolffa, zapraszając go na popis młodej uczenicy, o której talencie wielkie sobie roił nadzieje. Litolff stawil się na wezwanie, i rzeczywiście piękny śpiew nie uczenicy, ale skończony już prawie artystki, jakkolwiek piętnaście lat wieku dopiero liczyła, silne w nim wzbudził wrażenie. Po skończonym popisie, młoda debiutantka zbliżyła się do mistrza, oczekując nieśmiało słowa zachęty.

— Pani będziesz wielką artystką, rzekł jęj wówczas Litolff, sława twoja obiegnie Europę, a może przyjdzie czas, w którym ja sam będę się starał o twój współudział w jednym z moich koncertów.

I sprawdzili się prorocze słowa: uczenica Vartela zajęła pierwszorzędną miejsce pomiędzy śpiewaczkami europejskimi; wezwana jednak do współudziału w koncercie Litolffa, dla niewiadomych nam przyczyn, nie sądziła się być w możności odpowiedzenia temu wezwaniu.

Mówimy tu o pani Trebelli, goszczącej obecnie w Warszawie, której zapowiedziany udział w zesłaniedzielnym koncercie Litolffa spełził niestety na niczym.

* * *

W przeglądzie prasy peryodycznej, zamieszczonym w ostatnim numerze Przeglądu Tygodniowego, znajdujemy bardzo słuszne uwagi o korespondencjach zagranicznych po pismach naszych umieszczanych. Sprawozdawca dziwi się lekceważeniu z jakim korespondenci odzywają się o literaturze głównie francuskiej, uważając ją jako będącą w zupełnym prawie upadku i nie przyznając autorom obecnie w niej występującym ani talentu, ani wpływu, ani nawet sumienia pisarskiego.

Przytaczamy słowa sprawozdawcy:

„Kreacyj Ponsarda, (według zdania korespondentów), nie natchnęła gorąca miłość dobrego, ale je

podyktował interes własny; Augier cierpi artystyczny zawrót głowy; Feuillet ma styl akademicki, nasuwający myśli zdrożne, a zresztą jest zbyt mały, aby o nim warto szeroko pisać; Dumas, syn, przygotowuje już tylko konfiturki niesmaczne i niestrawne; Sardou należy nie do rzędu pisarzy, ale *kuglarzy*; Wiktor Séjour, zwany inaczéj *odrzywką*, jest maszynistą, nie pisarzem dramatycznym i t. d.“

Nie koniec na tém: ciż sami korespondenci starają się odrzéc imiona otoczone w całym ucywilizowanym świecie najzasłużeńszą nawet wziętością z przynależnego im blasku. Podług nich Aleksander Dumas, ojciec, przeżył sę już zupełnie, Wiktor Hugo wpadł w manierę, która ostatnie ślady talentu w nim zatarła, a Lamartine jest żywym trupem. Nawet miejscowi nasi krytycy, nie zadając sobie pracy przejrzenia utworów tych ludzi rozgłosnego imienia, zwykli mówić o nich, jako o pisarzach ze sztucznie wyrobioną sławą, albo raczéj jako o zręcznych robotnikach, których dzieła nie mogą żadną miarą wytrzymać sumiennej i poważnej krytyki. Parę razy zwracaliśmy już uwagę czytelników na ten dziwny pogląd na zagraniczną literaturę pism naszych miejscowych; nie zawadzi jednak, z powodu zaciepienia w Przeglądzie Tygodniowym tak ważnej podług nas kwestyi, jeszcze raz dotknąć się tego przedmiotu.

Był czas w którym literatura nasza żywiła się samemi tylko przekładami, głównie z francuskiego języka; oryginalnych dzieł ukazywało się bardzo mało, a i te niechętnie brano do ręki. Ale jak zwykle w takich razach bywa, nastąpiła reakcja. Bieżąca literatura odżywiła się powoli, poczęto powstawać przeciwko luźnym przekładom bez wyboru nas zaléwającym, a pisarze nasi, ujęci chwalebna gorliwością o wzrost miejscowego piśmiennictwa, pracowali nad wykluczeniem z pism i gazet krajowych wszystkiego, co tylko zagraniczną nosiło cechę. Dzisiaj przekłady (z przyczyny głównie oszczędności, zmniejszeniem się liczby prenumeratorów spowodowanej) powróciły do felietonów pism peryodycznych, ale po większej części czynione bez wyboru i krytyki żadnej. Tłumacz bierze zwykle pierwsze lepsze dzieło, które mu podpadnie pod rękę, więcej o rozciąłość jego, aniżeli o wartość dbając, i zapełnia szpalty pisma tłumaczeniem częstokroć nieudolnym. Pomiędzy książkami z zagranicy przez księgarzy naszych sprowadzanymi, najwięcej mają powodzenia skandaliczne opowiadania dziejów pół-swiata paryzkiego lub londyńskiego, rozmaite pamiętniki garderobianych, zyciorysy heter nowoczesnych i tajemnice buduarowe. Toż samo, niestety, dzieje się (z rzadkimi wyjątkami) i na polu dramatycznym. Książki poważniejszej treści, utwory prawdziwego talentu, w niewielu tylko egzemplarzach rozchodzą się tutaj i nikną w potopie elekubracji bez żadnej wartości. Krytycy i korespondenci, którzyby powinni podawać pewne wskazówki czytelnikom, wzięli sobie za zasadę *nil admirari*, i czerpiąc zdania swoje z jakichś pokątnych sprawozdań zagranicznych, wszystkich i wszystko odsadzają od czci i wiary, ganiąc często na wiarę pierwszego lepszego paszkwiliisty dzieło którego nawet nie pomyśleli wziąć do ręki.

Nie mielibyśmy nic przeciwko tym objawom, gdyby one powodowane były sumiennem przekonaniem o wyższości literatury naszej, gdybyśmy mieli rzeczywiste prawo okazywać się tak bezwzględniymi w sądach. Ale niestety! tak nie jest. Piśmiennictwo nasze silnie, i to chwilowo tylko, rozwinięte w niektórych swoich częściach, w innych znowu okazuje brak zupełny i niczem niezapełnioną posuchę, ratując się tymi zagranicznymi autorami, na których tak wyrzeka. Sami nie mogąc stać o własnej sile, wyrzekamy niesłusznie na tych którzy nam za wzór i podporę służą. Korespondent niemiłosierdzie kompilujący zagraniczne dzienniki, o których wie że nie dochodzą do Warszawy, rzuca błotem na tych co mu życie dali; powieściopisarz, wykształciwszy się na zagranicznych wzorach, odmawia wszelkiej zasługi tym, od których naśladowania (że nie użyje tu silniejszego wyrazu)zawód swój rozpoczął; a krytyk, przejrzawszy tytuły katalogowe, zadowolony tą swoją sumiennością, rzuca potępienie na zagranicznych szarlatanów, którzy pragnęli za pisarzów utalentowanych uchodzić. „To dobre dla Francuzów, ale nie dla nas,“ pisze niejednego; a nam się zdaje

że co dobre dla Francuzów lub Niemców, to, względnie przynajmniej, dla nas lepsze jeszcze, bo my nie mamy prawa być od nich wybredniejszymi.

Gdyby rzeczywiście istniały u nas sumienne przeglądy literatury zagranicznej, a nie dorywcze kompilacje, czerpane bez wyboru z pierwszej lepszej publikacji, jaka nam podpadnie pod rękę, wyleczylibyśmy się wprędce z tej niczem nieusprawiedliwionej dowolności sądu. Nie wymagamy wprowadzić od krytyka, ażeby własnymi utworami usprawiedliwiał wzór jaki innym podaje do naśladowania, ale mamy prawo żądać od niego zdania na sumiennym przekonaniu opartego, sądu zaczerpanego ze zdrowych estetycznych pojęć. A nie szukać tego po zagranicznych kawarniach, gdzie tylko napotkać można dzienniczki plwające żółcią na wszystko co prawdziwą odznaczyło się zasługą, z których to dzienniczków sprawozdania naszych korespondentów najczęściej czerpane bywają. I u nas, niestety, istnieją publikacje szukające takiej samej drogi do rozgłosu, a zagraniczny korespondent, który chciałby z nich czerpać sąd o naszej ubogiej, chociaż krzepiącej się jeszcze wedle sił i możliwości literaturze, dziwnego zaprawdę nabrałby o niej wyobrażenia. Bo trzeba pamiętać że nie w odmawianiu zasługi innym, dla postawienia siebie na świeczniku, ale w staraniu się o zrównanie im i przewyższenie ich nawet pod względem pracy i wykształcenia, leży prawdziwa godność pisarska.

* * *

Szanowny panie.

Mieszkam w S***. Gdzie to miasto leży, ile ma ludności, jakie najznakomitsze kościoły, gmachy, zakłady i t. d., to cię zapewne niewiele obchodzi; dość ci wiedzieć że jest to miasto jak inne, są w nim ulice, rynek, place, a nawet... resursa, o której właśnie mam ci parę słów powiedzieć.

Epoka założenia resursy naszej ginie we mgle czasów, i całe jej pierwotne dzieje pozostawiam przyszłym historykom, których głównym zadaniem będzie kiedyś ułożenie kroniki naszego miasta. Poprzestaję na wzmiance, że resursa nasza przetrwała kilka komitetów, z których ostatni niedawno nawet uległ zmianie radykalnej.

W tych więc dniach nowi członkowie komitetu, wraz z nowym dyrektorem, zebrał się na naradę, której głównym celem miało być obmyślenie sposobu uczczenia zasługi poprzedników.

Różni członkowie zabięli głosy z kolei i stawiono kilka wniosków. Jedni chcieli wydać na cześć ubytych członków uroczysty obiad, drudzy wieczery, inni znów wotowali za obdarzeniem ich albumem pamiątkowym; słowem projekta szły za projektami, żaden jednak z nich nie uzyskał ogólnego przyzwolenia, pragniono bowiem jakiegoś pomysłu nowego, nieznanego jeszcze, nieużytego nigdzie.

Jak zawsze w ważnych chwilach bywa, pomysł ten wisiał w powietrzu, unosił się ponad głowami zgromadzonych, ukazywał im się w mistycznym świetle jasnowiedzenia; szło tylko o śmiałą rękę, która by go umiała pochwytać, ucieleśnić i sprowadzić na ziemię.

Aż wreszcie pożądane natchnienie spadło na jednego z członków: dał znak że chce mówić i nastała cisza ogólna.

— Panowie! zawołał, przekonany jestem że to co wam powiem, zyska ogólny przyklask, wniosek bowiem jaki będę miał zaszczyt wam przedstawić, zadowoli i słuszne wymagania ludzi zasłużonych, których mamy wynagrodzić, i godność naszą jako ofiarodawców.

— Prosimy! słuchamy! zawołałi wszyscy.

— Nie potrzebuję rozszerzać się tutaj nad zasługami poprzedników naszych, oraz tego który im tak długo przewodniczył. Błogie dni miasta S***uświetniali oni muzyką i tańcem, nie żalowali czasu na sesje, ponosili sumiennie wszystkie ciężary przywiązane do godności, jaką ich zaufanie współczłonków zaszczyliło, a nawet gmach w którym się obecnie znajdujemy winien jest...

— Wiemy, wiemy, ale do rzeczy! zawołało kilku członków, oglądając się z niepokojem na wodę dęszcową przez sufit przeciekającą i mogącą stać się przeszkodą dalszego rozwoju narad.

— Otóż należy godnie uczcić to co jest czeigodnym. Słuchajcie! *A Jove principium*. Dyrektor, jako przewodniczący, jest najzasłużeńszy, trzeba zatem przedewszystkiem uczcić zasługi dyrektora. Proponuję więc, ażebyśmy zrobili kazali jego popiersie i na wieczną rzeczy pamiątkę, umieścili je w sali balowej.

— Ależ... zawołało kilka głosów.

— Za pozwoleniem, nie skończyłem jeszcze. Proponuję dalej, ażeby zamieścić nowy paragraf w ustawie resursowej, na mocy którego wszyscy przyszli dyrektorowie mogliby korzystać z prawa tego zaszczytu.

— Bravo! Przyzwalamy! Cudowny pomysł! odezwały się głosy wszystkich tych, którzy mieli nadzieję wyniesienia się kiedyś do dyrektorskiej godności.

— Za pozwoleniem! odezwał się jeden z członków.

— Nie przerywać! projekt już przeszedł większością głosów, opozycja zbyteczna! krzyczano ze wszystkich stron.

— Kilka słów tylko! wołał jeszcze głośniejszy uparty oponent.

— No mów pan czego chcesz? tylko prędko.

— Lękam się urazy.

— Jakięj urazy?

— Urazy kilku ludzi, niebardzo wprawdzie szkodliwych, jak na dzisiaj, ale zawsze...

— Kogóż naprzykład?...

— Ot takiego Kopernika, Fryderyka Wielkiego, Marka Aureliusza i innych, którzy mając także posagi, będą może niezadowoleni z tego towarzystwa, jakkolwiek bardzo dla nich zaszczytnego.

— Ci panowie nie mogą obrażać się o to, rzekł jeden dobroduszny członek, boć przecie każdy ma swoje zasługi.

— I cóż z tego że Kopernik odkrył system słoneczny?

— Zarzut niedorzeczny i upada!

— Jednomyślnie!

— Postawimy popiersie!

Nie było co mówić: większość oświadczyła się przeciw zarzutowi i oponujący umilknąć musiał.

Urządzono więc wystawienie popiersia dla dyrektora, dla członków zaś komitetu obmyślono innego rodzaju owacy, dosyć nawet stosowne.

Na tém się zakończyła pamiętna ta obrada, o której ostatecznym wypadku mam zaszczyt ci donieść, szanowny panie, dla uczynienia z korespondencji mojej stosownego użytku.

* * *

We wsi Dziepułci, w powiecie radomskim położonej, kilku właścicieli ziemskich, stowarzyszonymi kapitałami, tą silną dźwignią, na której tak dobrze poznano się zagranicą, założyli na wielką skalę fabrykę stolarską. Parowa maszyna krajowego wyrobu, o sile 16 koni, wprowadza w ruch inne maszyny do heblowania, rznięcia i fugowania drzewa, a wszystko co tylko u nas i zagranicą wynaleziono praktycznego, zastosowaniem będzie w wielkim tym zakładzie. W istocie, nazwać go można wielkim, bo już na urządzenie jego wydano rs. 50,000 z górą, a jeszcze fabryka niezupełnie jest ukończoną. Będą tam przyjmowane wszelkiego rodzaju zamówienia stolarskie, szczególnie zaś fabryka zajmować się zamierza wyrabianiem ozdobnych posadzek, na które rysunki posprowadzano z zagranicy.

Nie możemy jak tylko życzyć, by nowy ten zakład rozwinął się i cieszył pożądaną pomyślnością.

* * *

Dnia 19 lutego r. b. zmarł w Dreźnie, gdzie zamieszkał od lat kilku, Roman Zmorski, jeden z najzdolniejszych poetów naszych młodszego pokolenia i stały, od samego początku, współpracownik Tygodnika Ilustrowanego. Wiadomość o tej stracie przedwczesnej powzięliśmy z pisanego do nas listu wdowy po ś. p. Romanie, pani Tekli Zmorskiej, na której ręku poeta, po długim cierpieniu, zakończył życie, mając lat zaledwo 42. Obszerniejszy jego życiorys, wraz z wizerunkiem, wkrótce podamy.

Przegląd polityki zagranicznej.

1 marca.

W dniu 24 z. m. w zamku królewskim w Berli-

nie odbyła się uroczystość otwarcia posiedzeń parlamentu Niemiec północnych. Król pruski osobiście odczytał mowę tronową niezwyklej doniosłości. Złożywszy dzięki Opatrzności, która prowadzi Niemcy do upragnionego przez ich ludy celu, król pruski zwrócił uwagę na osłabienie i niemoc w jaką wpadło potężne niegdyś państwo niemieckie. Dziś przedstawia się pole do podźwignięcia Niemiec i już część państw związkowych zgodziła się na poniesienie pewnych ofiar dla dobra ogólnego. Przedstawionym więc będzie parlamentowi projekt ustawy związkowej, który ma doprowadzić do ogólnego porozumienia się wszystkie państwa niemieckie. Co do Niemiec południowych, pozostających za Menem czyli za granicami nowego Związku, król oświadcza, iż chętnie poda im szczerą rękę, gdy tylko Związek północny postąpi tyle, że będzie zdolnym do zawierania traktatów. Król kończy temi słowy: „W imieniu rządów związkowych, w imieniu Niemiec, wzywam was panowie, abyście dopomogli nam przeprowadzić szybko i bezpiecznie wielkie dzieło narodowe.“ Mowa ta silne w całych Niemczech wywołała wrażenie i nie może pozostać bez wpływu na resztę społeczności niemieckiej, wyłączonej przez traktat pragski ze Związku. Nawet austriacy Niemcy, pomimo niezaprzeczonego przywiązania do monarchii habsburskiej, nie mogą być obojętnymi na słowa królewskie, głoszące jedność i potęgę całych Niemiec. Okoliczność ta utrudnia także zadanie p. Beust, który nie może lekceważyć żywiołu niemieckiego (centralistów), a zostaje pod naciskiem federalnych. I tak Czesi nie chcą wysłać swych pełnomocników do rady wiedeńskiej, układają adres do cesarza, i już mówiono o rozwiązaniu sejmu czeskiego. Według ostatnich wiadomości, Galicya postanowiła wysłać swych posłów, inne zaś kraje słowiańskie dotąd wahają się w postanowieniu. Cesarz austriacki wyjeżdża do Węgier w pierwszych dniach b. m., celem odebrania w Peszcie przysięgi od nowo mianowanych ministrów. Otwarcie posiedzeń rady państwa w Wiedniu odroczone do dnia 30 marca.

Dzienniki wiedeńskie podały treść okólnika Partii otomańskiej do mocarstw europejskich, w którym między innymi rząd turecki utrzymuje, że uczynił już wszelkie ustępstwa możliwe chrześcianom, że nie okaże nowęj uległości, że uważa kwestyą kandydyską za wewnętrzną i że ma dosyć sił do poskromienia powstania. Ostatnie twierdzenie brzmi nieco podejrzanie, w obec depesz otrzymanych z Korfu, okazuje się bowiem że Turcy pobici zostali pod Gerakari, że nie zdołali zająć prowincyi Selinos, że jeden z oddziałów tureckich zmuszony został do cofnięcia się przez 2500 powstańców i że Kandyoci obstają za przyłączeniem wyspy do Grecyi. Z tém wszelkiemi stronnictwo wojny wzięło górę w Konstantynopolu i postanowiło siłą oręza oprzeć się żądaniom greckim. W tym także celu prawdopodobnie Porta zgodziła się na pewne ustępstwa dla Serbii, depesze bowiem z Belgradu donoszą, że rząd turecki zezwala na cofnięcie załóg z czterech fortec, z wyłączeniem Belgradu.

Prawo interpelacji, udzielone izbie francuzkiej w roku bieżącym, przeszło już na drogę praktycznego zastosowania. Członkowie opozycji: Picard, Jules Favre, Książę Marmier i inni zażądali wyjaśnienia w przedmiocie okólnika dyrektora poczt, dotyczącego tajemnicy listowej. Na żywą mowę p. Picard odpowiadał najprzód sam dyrektor, p. Vandal, następnie zaś minister Rouher, którzy dowodzili że rząd ma prawo zabierać listy podejrzane i że wszystkie rządy francuzkie postępowały tak samo. W końcu minister przyznał, iż zaszyły tym razem pewne nieformalności, jak np. rozciągnięcie władzy prefekta paryzkiego na całe terytorium cesarstwa, i tym sposobem zażegnał burzę. Izba oświadczyła iż jest zadowolona i przechodzi do porządku dziennego. Druga interpelacja zapowiedziana jest przez Thiërse w przedmiocie polityki zagranicznej, głównie zaś co do kwestyi reorganizacji Niemiec. Z Meksyku coraz gorsze wiadomości. Juarez, posiadający do 70,000 wojska, zbliża się coraz bardziej ku stolicy, kędy zaledwie 30,000 stronników cesarza Maksymiliana bronić będzie praw tego monarchy. Dzienniki donoszą o ciągłych dezercjach z obozu cesarza i przewidyują blizki jego upadek.

(W. T. B. Schles. Ztg. Ind. Bel. France. Jour. des Deb.)

Rozsądne dziewczę.

(Prośba zabląkanego Amora).

Dziewczę urocze!

Otwórz drzwi swoje,
Bo już noc ciemna
I ja się boję.

Wybiegłem z domu
Rano ukradkiem,
Z łukiem na ptaki....
Jowisz mi świadkiem.

Otwórz! ja zato
Dam w warkocz różę
I wycaluję
Twe oczy duże.

Albo nauczę
Robić w sekrecie
Siatkę na chłopców.
Otwórz-że przecie!

Czyżbyś pragnęła
Bym spał na ziemi,
Ziębły i głodny
Pod drzwiami twemi?

Ach! już zgaduję:
Próżne mozoły!
Ty mną pogardzasz,
Bo jestem.... goły.

Miron.

Gawędy ekonomiczne.

3. Dziedzictwo pracy.

— Znakomite imiona, prawili mi pewien zapalony heraldyk, nabięrajają wartości w miarę wpływu wieków. Historia, badając czyny przodków, rzuca odbicie ich światła na następców. Lecz niewszystkie rodziny wywodzące się chociażby od Lecha, mogą mieć tytuł do historyczności swoich imion. Byli między nimi tacy, co wiele zrobili dla swego rodu, chociaż bardzo niewiele dla narodu; ród przeto uwiecznił ich imiona, które natomiast przepomniął naród. Dlatego to każda prawie znamienitsza rodzina ma dzieje swojego rodu i nieodłączne od niej drzewo genealogiczne.

— Wszystko to są zażytki przeszłości, odrzekłem. Czas obecny, tak materyalny, tak prozajczny, śmieje się z tych dziwactw i bynajmniej nie ma zamiaru ich naśladować.

— Herezya! herezya! mój mości dobrodzieju, odparł nieco zgorszony mój przeciwnik. Ja, chociaż jestem wielbicielem wieków bohaterów, niemniej przecież wierzę epoce dzisiejszej. Prawda że nie spotykamy dziś tak wybitnych osobowości, jakie przedstawia przeszłość; lecz miało by to być ujmą dziewiętnastego wieku? Owszem, zważywszy przyczyny, będzie to chluba dla niego. Wśród nocy gwiazdy najniższego rzędu jasno przyświecają, lecz niknie ich ślad przy świetle słonecznym. W epoce Karola W., kogóż więcej widziemy oprócz samego Karola? Dlaczego? bo on jeden wybiegł po za sferę zwykłych tej epoki rębaczy. Przebieżmy dalsze okresy dziejów; uważmy dlaczego

epoka Kopernika nie nosi jego nazwy i poszukajmy odpowiedzi w toku historii. Karol był jedyną osobistością swojego czasu, nie miał mistrza z którego powstał. Przeciwnie Kopernik był prawdą mistrzem, lecz powstał z mistrza; epoka która go

gdyś było osobliwością, dziś jest rzeczą bardzo zwyczajną; kogo niegdyś uwielbiano jako olbrzyma, ten zmałał dziś do miary wielu innych współczesnych.

Mimo to przecież monografie pojedynczych ludzi i rodzin z epoki obecnej mogą być liczniejsze niż kiedykolwiek, bo tych rodzin znakomicie przybyło. Jedno miasto więcej ich dostarczy, niż niegdyś całe prowincje i kraj. Zjrzyjmy w dziedzinę przemysłu i pracy. Tu spotkamy światło nauki i zamożność materyalną, dwa główne te warunki, jakie stwarzają i utrzymują imiona. Cel działalności jest tu skromniejszy: nie o możnowładztwo i przewagę tu chodzi. Niema tu tej ambicji, aby świetne następcom przekazać imię; lecz zato widoczną jest dążność, aby uwiecznić dziedzictwo pracy. Pod nazwą takiego dziedzictwa niekoniecznie majątek należy rozumieć; jest coś co równa się majątkowi, albo go nawet przewyższa, a tém jest opinia. Fabryka blachy cynkowej ustala sobie opinią dokładnej i trwałej roboty. Opinia ta wzrasta w miarę udoskonalenia się wyrobu, nadaje rozgłos i sławę fabryce. Fabrykę reprezentuje firma, firma przeto staje się sławną a firmowy właściciel fabryki staje się arystokratą w przemyśle.

I cóż pan powiesz o tej nowej arystokracji? Posiada ona całą piękną stronę dawniej, a dlatego że nowa i nie zaśnie działa, że pracująca i zarabiająca, utrwala swoje imię. Jest to nawet i arystokracja rodu: syn dziedziczy wziętość ojca i utrzymanie jego stanowi jego przyszłość. Powiedz pan, proszę, czy taka arystokracja nie ma warunków trwałości, czy nie przebędzie wieków? Zdaniem moim przetrwa ona długo, bo jej los, jej istnienie tak ściśle jest związane z imieniem, a znów to imię, jego sława, tak wyłącznie od ogólnej opinii zależy, że kto chce istnieć jako przedsiębiorca, musi pamiętać o chwale swojego imienia i chwałę tę czynami, ciągłymi wysileniami, bezprześcanną pracą utrzymywać i zwiększać.

Tu nie można spocząć na zdobytych laurach, bo laur natychmiast wędnie, jak tylko przestaje być skrapiany krwią i potem swojego posiadacza. W tém właśnie leży trwałość tej nowej arystokracji, że ona dziedziczy pracę swoich przodków, to jest nietylko materyalne owoce tej pracy, lecz samą pracę, sam mozół pracy i cały jej ciężar, którego dla własnej korzyści pozbyć się ani na chwilę nie może. Chwilowy nawet spoczynek, chęć wyłamania się z pod tego jarzma, jaki spadkowi po przodkach praca wkłada na barki następców, odrazu obala sławę imienia i grzebie ją w niepamięci.

Lecz nie sądźmy iżby to dziedzictwo pracy odnosiło się wyłącznie do wielkich przedsiębiorstw, iżby była udziałem tylko Rotszyldów, Pereirów i im podobnych. Owszem, zejźmy do niższej pracy, a i tam toż samo spotkamy. Ustalona firma antykwaryusza-księgarza, jubilera, nawet zwyczajnego handlarza korzeni, jest tak popłatna, że się

takową za drogie pieniądze nabywa, i świat nie wie, że po kupcu W. nastąpił X., bo firma W. nietykalna istnieje. Ona stanowi o powodzeniu, jest rękomią rzetelności i usłużności dla ogółu,



Rysował na drzewie Dymitrowicz.



Noc, obraz olejny Marszewskiego. skopiowany podług fotografii Karola Beyera. — Obraz ten, zakupiony przez tutejsze Towarzystwo zachęty sztuk pięknych do rozlosowania w końcu r. 1836, wygrał p. Mikołaj Żuchowicz w Warszawie.

Cóż podobnego widzimy i dzisiaj. Wśród tylu znakomości w polityce, naukach i wynalazkach, wśród tylu potęg umysłowych, myślących i działających, niełatwo wznieść się nad innych. To co nie-

dlatego jój dziedzictwo więcej nieraz stanowi dla następców, jak sam majątek.

U nas niedość to dobrze zdają się pojmować, może dlatego że jesteśmy zbyt młodzi w przemyśle; dość że nader mało przywiązujemy wagi do dziedziczności przemysłowego imienia. Syn kupca, pyszny spadkowym majątkiem, wstydzi się przecież dziedzictwa pracy. W jakimś dziwnie spaczonym pojęciu pańskości, nabywa dobra ziemskie i ubiega się o lepsze z innymi w marnotrawstwie czasu i zasobów. Roztrwania sukcesyjny majątek i tém sobie tylko szkodzi; jego pieniądze przechodzą w ręce umiejętniejsze i pracowitsze. Ogół na jego marnotrawstwie wprawdzie nie traci, lecz traci na jego próżniactwie, traci jednostkę z pośród nie licznego zastępu pracowników. A gdy takich jednostek liczba się zwiększa, ogół ubożeje.

Ubóstwo materyalne, a razem niedostatek inteligencji w sferach przemysłu i handlu, zawdzięczamy tej fałszywej ambicyi, tej dziecinnej chęci wywyższenia się nad innych. A mimo tę właśnie ambicyą, i może z jój powodu, niedostaje nam prawdziwej dumy rodowej, tyle właściwej prawdziwej zasłudze. Syn, ojciec, dziad i pradziad, wzrastający w tém samym miejscu, na starych śmieciach, toć to przecież zasada dawniej arystokracji rodowej; pamięć rodu utrwała się przez przywiązanie do miejsca. U nas dziś dzieje się inaczej: syn chce być wyższym od ojca, i właśnie dlatego maleje, szukając gdzieindziej fałszywego blasku i podniesionego stanowiska.

Na zgubnej tej drodze, potępianej przez rozsądek niejednokrotnie, a skropionej już łzami, spotykamy wprawdzie nowych pracowników, zbierających okrucyponieogłędnych nowatorów. Z tych okrucyponieogłędnych nowatorów tworzą się wprawdzie nowe zakłady i firmy; ale cóż ztąd, kiedy synowie i wnuki tych skrzętnych zbieraczy wyprą się znowu dziedzictwa pracy i pójdą szukać błyskotek, porzucając rzeczywiste dobro.

Umilkł poczciwy starzec, a na zoraném jego czole znać było przejęcie się ważnością tej strony ujemnej naszego społeczeństwa.

Z. Morski.

Sród ciszy.

Poranku blaski w nieskończoną
Dal życie niosą nowe,
Już w górze gwiazdki tam nie płoną,
Nie straszą chmurki płowe.

Radosną pieśnią ptasząt chóry
Do życia budzą ziemię;
Już powstał róży kwiat z purpury
I lilia już nie drzemie.

I zwiśla wierzba ponad wodą,
Rumieni się kalina,
Gawędę głośną ptaszki wiodą
Że lato się poczyna.

Warkocze wierzba nurza w fali,
Kalina patrzy w głębie,
A w górze słonko już się pali
I gonia się gołębie.

Czasami wietrzyk téż figlarnie
Koronę musnie drzewa,
To fale w drżące kółka zgarnie,
To kółka znowu rozwiewa.

I znow po chwili świegotanie
Zwiastuje ciszę błogą.

I tak co ranku technie urokiem
Przyroda w takiej ciszy,
A ponad srebrnych fal potokiem
Pieśń nieba ucho słyszy.

Floryan.

Przegląd piśmienniczy.

(Dokończenie.)

Czy zaś jest dramatem (jak to zapowiedziano) utwór noszący tytuł *Dwa pożegnania?* to rzecz jeszcze do rozstrzygnięcia. Autor jego zastrzeża sobie prawo własności w obec sceny, ale przezorność to wcale zbyt uczona. Z pewnością niema teatru, któryby zaryzykować zechciał względy publiczności, dla rzeczy na tak chronicznie cierpiącej wycieńczenie. Weźmy nie dalej jak jój pomysł. Aniela, majątna dziewczynka, jest narzeczoną hrabiego Artura Próchnickiego; potajemnie zaś kocha ją Michał Sulimowski, o którym ona ani wiedzieć nie chce. Znała ojciec jój odbiera telegram o najzupełniejszej ruinie swęj majątkowej, skutkiem czego rażony zostaje apopleksyą. Wtedy hrabia Artur pisze list do Anieli, w którym życzy sobie mocno, żeby ciotka jój zapisała jój cały swój majątek, w przeciwnym bowiem razie żegna ją nazawsze. Ze swęj strony zaś Michał Sulimowski podobnie listownie ofiaruje jój wszelką pomoc pieniężną, i także żegna ją nazawsze. To stanowi dwa pożegnania, i na tém koniec. W ogóle zresztą cała sztuka jest tylko znużoną tkaniną nieprawdopodobieństw, oraz nieznośności serca ludzkiego i stosunków świata. Nawet co prawda, bardzo jest nudna, na scenie zaś uspiłaby nawet stojących.

Zostawiwszy tedy ziewanie na czas wolniejszy, zwróćmy się ku przedmiotom więcej umysł rozweselającym i przypatrzmy się co téż nam przedstawia godnego uwagi oddział komedyi? Same tu niemal

krotochwile. Nie mówi się tego ku potępieniu rzeczy, broń Boże, owszem, ma i ten rodzaj swoje zalety i trudności, upadki i zwycięstwa; rzecz tylko dziwna, że od Fredry i Korzeniowskiego, jakoś żadną miarą do prawdziwej komedyi przyjść nie możemy. Są usiłowania, niebrak woli dobrej, na zachęcie nawet nie zbywało (mówimy tu o konkursach, nie o czém inném), jakoś nie i nie. Cóż tedy? czy zdolności brak? być może, nawet zapewne, nawet niezawodnie. W liczbie utworów, bądź ostatniemi czasy zjawiających się, bądź niemogących się żadną miarą zjawić na scenie, znajdujemy rzeczy wcale pokażne, bardzo sumienne, niesłuchanie poczciwe,



Rysował i rytował A. Karmański, w drzeworytni Tygodnika Ilustrowanego.

Czasami słowik piosnkę dzwoni
A piosnce echo wtórzy, —
Wtém jeleń łanie w las pogoni
I ptaszę furknie z róży.

Tam zdala, kędy las głęboki
Co kończą go niebiosy,
Dolecą z echem czyjś kroki,
Rozmowy, śmiechów głosy.

Ptaszyny ścichną, szum ustanie,
I jeleń stanie z trwogą,

ale namaszczonej — ani jednej. Nie upoważnia to niwy scenicznej do zapuszczenia się rozpaczliwie chwastami cudzoziemskiego, a zwłaszcza francuzkiego autoramentu; nie dla niej też kręśliły niniejsze uwagi — przyznać jednak wypadnie, że jakoś ogólnie nawet po świecie dobrej komedii, ale to tak po Moliérowsku, po Fredrowsku dobrej, szukać dziś z latarnią w południe. Długoby tu rozprawiać o przyczynach podobnego stanu rzeczy, więc też w stosownym miejscu i czasie warto będzie raz jeszcze wrócić do tego przedmiotu. Obecnie, ku zaszczytowi naszemu, powiedzmy tylko, żeśmy przynajmniej, jak drudzy, ani słów naszych w lada kałuży nie zbrukali, ani myśli po zaułkach nie zmiętosili, że może jedni jeszcze w czystym źródle oglądamy świat odbicie. Swoją drogą w rzędzie utworów przychodzących nam obecnie pod pióro, właściwa niby komedia i tym razem jeszcze stanowi zastęp najslabiej przeciw pociskom krytyki zbrojny. Jak powiedzieliśmy, przeważa tu krotoczwila, i to nie tylko liczbą, ale i wartością.

Na czele spotykamy nieodżałowanej pamięci Walerego Łozińskiego. Są to sobie dowcipne drobnostki, dyalogowane fraszki, rzeczy maluczkie, potulne, niewiele o sobie mniemające, ale cóż w nich za ruch dramatyczny, co za życie, co za wyborna wesołość! Pierwsza jest anegdotką niezbyt wyszukaną treścią. *Niebezpieczny człowiek*, to poprostu młody literat, którego się śmiertelnie obawia stary legionista Serwacy Łomot, jakbaż nigdy się w życiu nie ustraszyl armatniej kuli. Obawia go się również jedna z panien, oraz niejaka Rzędalska, do najwyższego stopnia pocieszna postać, usiłująca się jednak nastroić godnie, jako osoba niepowседневnej wagi. Rzeczą zaś jest taka, że pan Serwacy miał przyjaciela, którego dwóm synom przyrzekł był niegdyś oddać obie córki. Cóż kiedy jeden z nich powalał sobie słysząc palee atramentem, rzecz straszna, bo najgłupsza pod słońcem jak na mężczyznę, a cóż dopiero syna dzielnego żołnierza. W tym tedy gronie ludzi przerażonych do szpiku kości, sam jeden tylko winowajca, jako prawdziwy bohater, nie boi się niczego. Prawda i to, że ma współniczkę swojej odwagi w osobie pięknej Julii. Rzeczą kończy się jak zwykle w takich razach — szczęściem ogólnem. O! gdyby życie było poematem!...

Verbum nobile dzieje się dawniej trochę niż wczoraj. Stolnik Marcin Tarnorucki ma córkę, z którą żeni się koniecznie niejaki pan strukczaszy, blisko sześćdziesięcioletni młodzieniec, a to na mocy wyłudzonego niegdyś przy kielichu od stolnika *verbum*. Anna zaś kocha Jerzego skarbnikowicza i jest przez niego kochana. Pan stolnik nie ma nic przeciw Jerzemu, owszem, wolałby jego za zięcia; ale *verbum nobile*... niema rady. Już wszystko gotowe do ślubu, co tu robić? W głowę zachodzi Cieciora, rezydent grający rolę spójni dramatycznej i zarazem komicznego powiernika; nic także wymyśleć nie może pani podsędkowa, bardzo zabawna wdowa po dwóch mężach, mająca niezmyśloną ochotę wydać się za męża raz trzeci. Na szczęście, w najkrytyczniejszej chwili, zjawia się niespodzianie miecznik Krzysztof Liwurda, towarzysz chorągwi albeńskiej autoramentu jmc. pana Karola Radziwiłła Panie kochanku. Co? psikus do wypłatania? w to mu graj. Nikt prócz Jerzego i Cieciora nie wie o jego przybyciu; przebiega się tedy za Cyganekę i najobjętniej niby wróżąc gościom, stopniowo tak umię nastraszyć starożalotnika, że ten, sam nie wiedząc co robi, rozwiązuje stolnika z danego przyrzeczenia i oświadcza się podsędkowej, która go też z niezrównaną żarliwością chwytą za słowo. Rzeczą się wyjaśnia nieco zapóźno, bo już Jerzy złapał białą rączkę kochanki, i wreszcie *verbum nobile* wróciło do swego właściciela, a natomiast podsędkowa w lot schwytała drugie. Obie te krotoczwile nadzwyczaj żywe, puste, dowcipne, pełne względnej prawdy, a nadewszystko zdrowej soli, gwałtem się proszą na scenę. Ponieważ jednak (jak to dowcipnie ktoś powiedział), czekałby na to przestępnego roku, tedy choć teatru amatorskie, trzymające się kolei lat zwyczajnych, mogłyby mieć z nich niemało uciechy.

Z ostatnią z nich ma niejaki powinowactwo obrazek dramatyczny, noszący nazwę: *Jan Kaźmirz na łowach*. Krótko mówiąc, łowy te na tym polegają, że król, wybrawszy się na srogiego zwierza, zamiast niego upolował pannę, niemającą najmniejszej srogiego względem niejakiemu Waclawowi Czerwonki,

dzielnego towarzysza z pod chorągwi Czarnieckiego. Ta zaś panna, podobnie jak i poprzednia, mocą danego nieopatrznie słowa, przyrzeczoną została staremu sejmikowiczowi, wcale nieciekawej figurze. Już nawet jedzie z nim do ślubu, kiedy wtém (o dziwne Boskie zrzędzenie!) zdarza się wypadek w drodze przez las, powóz się przewraca, — wszyscy wysiąść muszą. Zaradziwszy złemu, wsiadają znowu; no, ale panna młoda? Panna młoda, rozstap się ziemi, przepadła bez wieści. Co? gdzie? jak? Oto poprostu, wiedząc że król poluje w tych lasach, zropanczona, pobiegła błagać jego opieki. Opieki? hm! kiedy ojciec żyw i cały? O nie, mościa panno, spełnisz wolę rodzica, lub kwita z przyjaźni. Ale wtém nader zuchwale wpaść oblubieniec, i z kopyta obces na pana ojca, posadzając go o spółnictwo w całej tej sprawie, wygadując niestworzone rzeczy na Waclawa, i z tej okoliczności o pannie nawet wcale krzywdząc pozwalając sobie mowy. Z kolei: hola, panie bracie! zelżyłeś narzeczoną, to sobie innej szukaj, bo w tej nie potrafisz już uszanować żony; a jak tylko tak, to wara od mojej córki. Na to król przykład swoje exequatur, i przypóźniony zalotnik odchodzi z nosem nierównie niżej opuszczonym, niż go nosił wprzód.

W tym względzie wolimy już rozwiązanie Łozińskiego, bo jest przynajmniej wysoce komiczne. Zresztą akt ostatni cały najmniej tu ze wszystkich staranny; znajdujemy w nim nawet rzeczy niemożliwe, jak klótnię i wyzwanie się na pojedynek w obecności króla. W ogóle komedii tej, zalecającej się żywym, choć więcej scenicznym jak dramatycznym ruchem, wyborym wierszem, zręcznym dyalogiem, stylem pełnym kolorytu, głównie zarzuciłby można brak proporcji. Są tu rzeczy jedne niedość, drugie nazbyt szczegółowo rozwinięte. Do tych ostatnich osobliwie zaliczylibyśmy ekspozycją pierwszego aktu, jakbaż sama w sobie cała jest od początku do końca z innych względów wzorowa. Im zaś dalej się idzie, tym pośpiech coraz widoczniejszy, zaczm i coraz częstsze wady w układzie i nawet zaniedbania w formie. Rzeczą to, mniemalibyśmy, niedość na zimno obmyślana, niedość wreszcie donoszona. Gdyby tak raz jeszcze wziąć ją na dojrzałe zastanowienie, nic pewniejszego że sam autor znalazłby w niej niemało objawów nazbyt gorącej kąpieli, z której w miarę ochłodzona, mogłaby wyjść wcale udatną komedią. Choć i tak jak jest, wcaleby jeszcze nieźle wyglądać mogła na scenie. Nie radzilibyśmy jej jednak amatorom; rzecz się rozbić może o trudności nazbyt szczegółowego miejscami rozwinięcia, ale nadewszystko z przyczyny, że ruch działawczy stosowano tu raczej do obszaru sceny i odległości miejsc teatralnych, niż do szczytów zasobów prywatnego, choćby nawet większej miary, salonu.

Z komediami pana Kacpra Zubowskiego, wchodzimy znowu w skromny dział krotoczwili. *Ciocia swatką* zdaje się być stworzoną dla amatorów. Ciocia ta, w miarę jeszcze młoda, chcąc koniecznie wydać za męża siostrzenicę, sama tymczasem osiada na koszu. Główną podstawę życia tej fraszki stanowią rozliczne omyłki, podsycające miłość młodego poety, a raczej zniewalające go do zdradzenia swego uczucia. Jest to sobie wesoła, pusta, postrzelona zręcznostka, krzyżująca w kolorycie, dziwnie łatwa w nieprawdopodobieństwach, słowem jedna z tych anegdotek, co to jedynie w niemożliwych warunkach ustroju społecznego mogą sobie rościć względne prawo istnienia. Ieżto podobnych przychodzi nam z Paryża, z tą tylko różnicą; że w nich ani setnej części tego sensu, zwłaszcza też moralnego, co tu.

Tegoż autora drugi utwór, noszący napis *Rzemieślnik*, pomysłem swoim, rozwinięciem charakterów, wreszcie układem dramatycznym, dosięga już niemal wysokości dramatu. Na nieszczęście spycha go niżej nawet komedii: przesada w sytuacjach, jaskrawość w kolorycie, słowem właściwy także poprzedniemu utworowi układ całkiem wyjątkowych warunków społecznego życia. Takie bowiem postacie jak hrabia utracyusz, pieczeniarsz jego Zalotka, dorobkowiec Knap, a nadewszystko stara zalotnica Dorota, zaledwie u Arystofanesa lub Plauta byłyby możliwe. Nie umiemy w tym względzie pojąć myśli autora; rzeczą jest tylko więcej niż pewną, że na gościa te społeczne pomysłało tu, a co gorsza wykonano, z całą przestarzałą naiwnością epoki dzieciństwa sztuki. Tém więcęć zaś cierpią z ich powodu

zasady zdrowego smaku, a nawet prostej logiki, tém mniej jest do wytłumaczenia podobnych środków użycie, że główni działacze dramatu, jak Anzelm, Władysław, Helena, naszkicowani są z ogromną prawdą i nawet bystrą znajomością stosunków świata. Rzeczą także cała w ogólnym tonie o wiele od poprzedniej spokojniejsza.

Treść tu jest taka. Helena, przybrana córka uczciwego fabrykanta pojazdów, kocha młodego człowieka, posiadającego całe zaufanie jej ojca. Ale ten Władysław, harda dusza w ubogim ciele, za nic w świecie nie poważy się zażądać ręki córki swego dobroczyńcy, i raczej pójdzie sobie w świat szeroki, niżeli spełni czyn w mniemaniu swoim wysoce nieuczciwy. Nie mogąc przełamać jego uprzedzeń, Helena udaje, że się skłania wreszcie iść za zruinowanego hrabiego, którego jej oddawna narzuca macocha, i kiedy już przychodzi podpisać intercyzę, w obec wszystkich drze akt przysposabiający ją za córkę Anzelma (w skutek czego macocha z domu ją wypędza), i tak, zostawszy naraz nietylko bez majątku, ale i bez schronienia, śmiało oddaje rękę Władysławowi. Jak widziemy, niemało tu dramatycznego żywiołu, i ten nawet wcale artystycznie zużytkować umiano; po cóż więc było, tyle znaną drogą mając przed sobą, po chropowatych zaułkach się błąkać, kędy najbezkorzystniej tylko podobierała się prawda życiowa? W ogóle to do czego autor przywiązał urozmaicenie przedmiotu, zaszkodziło tylko dramatowi, a nie utworzyło komedii, i wielka szkoda; są tu bowiem niemałe zasoby wpraw scenicznej, zręczności w obrazowaniu, żywoci stylu, swobody w dyalogach. Ale może to dopiero początek zawodu? Może lada dzień ujrzymy tegoż pióra więcej nieco harmonijny popis? Pióro to udatne jest, samodzielnie prowadzone, a tyle jeszcze ostre, że nie wygląda wcale spisane. Mówimy to na domysł, mylić się możemy; niemniej jednak rzeczą jest pewną, że jakiebądźby miejsce naznaczył jego próbom, niepodobna uwierzyć żeby być mogły słowem ostatniem. Żywa zdolność dramatyczna, tryskająca tu za każdym pociągiem, domaga się koniecznie uznania, i takowego odmówić jej nie można.

Przy najlepszej zaś chęci niepodobna będzie powiedzieć tego o tak zwaną komedią, noszącą tytuł *Wielkopolanin*. Wprawdzie wyszła ona z pod pióra znanego już oddawna autora, któremu ani pola, ani sposobności do popisu, ani nawet uznania nigdy nie brakło; z tém wszystkiem wielka to sobie miernota, pomysłała bez najmniejszego wysilenia wyobraźni, wykonana zaś także wcale niewielkim kosztem stylu i w ogóle sztuki obrobienia. Dlaczego się to nazywa Wielkopolanin? zarówno trudno przyszłoby usprawiedliwić, jak i dlaczego nazywa się komedią. Sprawa tu niby taka. Niejaki Władysław, znajdując się kiedyś w Dreźnie, zmuszony był wyzwać kogoś na pojedynek. Nie mógł jednak stanąć na placu, bo mu wypadło rozprawić się wprzód z pewnym oszustem, który go ograł w karty. Przeciwnik jego miał pierwszy strzał, chybiwszy zaś, padł na kolana, pokornie błagając o życie. We dwa lata potem ten sam Władysław, przyjechawszy na ślub siostry, spotyka znowu swego ptaszka w wielkiej zażyłości z jakimś młodzieńcem. Śledzi ich obu i przekonywa się, że i ten nieznamy jest również pastwą oszusta. Naprowadza tedy policją, chwytą łotra na uczynku, ogranemu zaś przez niego wytrąca z ręki pistolet, którym już zamierzał skrócić sobie życie. Znała pokazuje się że to jego przyszły szwagier; więc mu oddaje rękę swjej siostry i na tém koniec. W ogóle, całą duszą króluje tu melodramat, z niemałym przyborem tuzinkowych sztuczek, prochowych młynków, błysków przysłych do panewki, tumanów, koziołków, dobrych chyba dla mało wymagającej publiczności parafialnej, której wystarcza szumny afisz, nierównie więcej obiecujący, niż skromne zasoby wędrownego teatru, przy najlepszych chęciach, dotrzymać są w stanie.

Żałujemy, że nie możemy czémś choć trochę lepszym zakończyć naszego przeglądu. Ale nie nasza to wina. Rzeczą musiała iść koleją, po starszeństwie zasługi. I oto, jak na teraz, pozostaje już tylko streścić szczegółowe spostrzeżenia w jedną wspólną zasadę. Literatura dramatyczna czasów ostatnich, liczebnie przynajmniej, o wiele, jak widziemy, przewyższa powieść. A możeby i bliższe między nimi co do wartości porównanie, także niekoniecznie

wypadło na korzyść tej ostatniej. Rzecz to wiele pocieszająca. Poezja dramatyczna jest jednym z najtrudniejszych arcyzmów. Ma swoje nieubłagane ograniczenia, oraz dużo wymagań, których się niejeden niepowołany ulęknie. W istocie, bez wyraźnego poczucia prawdy, bez przywiązania się do swego przedmiotu, bez pewnej nawet dojrzałości ducha, ani się kusić o jaką taką zasługę na tej śluzkiej drodze. W tym względzie Arystoteles przed wiekami już niezachwiane wypowiedział prawo: „Poezja (dramatyczna), powiada on, doczerpuje się głębiej nierównie i zarazem bliżej ku udoskonaleniu podchodzi, od historii. Ogarnia ona ogół swobodnych spostrzeżeń, podczas kiedy historia *danemi* się tylko zaprzęta. W poezji bowiem idzie o to, żeby człowiek mówił lub działał to jedynie, co jest prawdopodobne lub możebne; ztąd przyczepiając swój urok do pewnych upodobanych przez siebie osobistości, może i powinna wkładać im w usta wyborowe słowa, tak samo jak wolno jej robić wybór pomiędzy czyniami. Historia zaś jest koniecznie niewolnicą ślepego faktu.“ Tak to wyniosłe jest, tak pełne namaszczenia stanowisko dramatycznego poety! Zaprawdę, wdychając ku niemu, nie żartem mierzyć się trzeba z możliwością, z zasobami wiedzy, środkami. Jak widzieliśmy, niebrak u nas na to odwagi, co już samo z siebie zasługą jest nielada. Cóż, gdy dołączymy jeszcze wzgląd drugi. Na kilkanaście szczegółowo rozebranych przez nas utworów, zaledwie znalazło się parę bezwzględnie nie wartych. Małoż w tym jeszcze otuchy na przyszłość? Między tylko cierpliwość. Wnosząc z objawów tak zarliwie budzącego się życia, opłacić się ona może sowicie. P.

Najnowsze odkrycia, wynałazki i spostrzeżenia naukowe.

(Dokończenie).

W Vincennes na przestrzeni czteromorgowej ziemi, złożonej głównie z piasku i gliny, porzniętej w geometryczne kwadraty, ścięła się corocznie bujna roślinność, sztuczną uprawą profesora Jerzego Ville'a wywołana. Po 15 letnich badaniach nad składem ziemi i roślin, rozwiązał on najważniejsze z zadań rolnictwa, a mianowicie uprawę na gruncie jałowym, za pomocą wyłącznie nawozów chemicznych. Doświadczenia p. Ville stwierdzają jego teorię, a wykład jasny ściągają w to miejsce wielu słuchaczy, nie tylko Anglików i Niemców, ale nawet Amerykanów.

Roślinami głównie poddawani próbom były: pszenica, groch i rzepak, od lat pięciu w tej miejscowości uprawiane materiami azotnymi i mineralnymi. W kwadratach o których na wstępie wspomnieliśmy, zachowano systematyczne stopniowanie w dostarczaniu pierwiastków do zasilania gruntu użytych. Tu zaopatrzone ziemię w nawóz odpowiedni w zupełności składowi rośliny jaki analiza wykazała; tam pozbawiono ją materij azotnych; owdzie znów mineralnych; tu potażu, tam wapna, dalej fosforanów, — a wzrost roślin to bujniejszy, to słabszy, sam tę klasyfikację wykazuje, przekonując o niemyślności prawdy naukowej.

Śledząc te stopniowane rozwoje roślinności, przechodzimy do wniosku, że nawóz chemiczny zupełny, bez względu na naturę gruntu, wydaje plon najbogatszy; brak chociażby tylko jednego pierwiastku wpływa już na osłabienie roślin, które z drugiej strony nie w jednakowej ilości różnych materij zasilających potrzebują. I tak pszenica wymaga bardziej materij azotnych niż potażu, groch zaś zupełnie odwrotnie. Rozbiór coroczny w ciągu lat pięciu jednego i tego samego gruntu wykazywał przytęm w jakim stosunku ubywały mu pierwiastki, a tem samem w jakiej ilości należało je nawozem chemicznym zastępować.

Przytaczamy na poparcie powyższych słów liczby, będące wypadkami zbiorów w zakładzie Vincennes otrzymanych. Pszenica bez nawozu wydała słomy 800 kilogr., ziarna 200 kilogr., łącznie 1000 kilogr. Pszenica po nawozie chemicznym słomy 6720 kil., ziarna 2800 kil., łącznie 9520 kilogr. Rzekpak bez na-

wozu wydał słomy i strąków 6400 kil., ziarna 1500 kil., razem 7900 kilogr. Rzekpak po nawozie chem. wydał słomy i strąków 8750 kil., ziarna 2740 kil., razem 11490 kilogr.

W praktyce cztery są główne materje używające. 1 Materyja azotna; 2 gips albo też węglan wapna; 3 potaż i 4 fosforan wapna. Inne materje potrzebne roślinie zawiera każdy choćby najuboższy grunt, o dodanie więc takich zbyt cennym byłoby troszczyć się. Jeżeli za dodaniem nawozu chemicznego plon zebrany wyrazimy przez liczbę 23, tenże przez pozabawienie rośliny materij azotnej zejdzie na liczbę stosunkową 8,83; po odjęciu nawozowi potażu, zachowując resztę, zbiór wyrówna tylko 6,37; cofając zaś fosforan wapna, zbiór obniży się do 0,77; czyli że roślina zmartwieje, w chwili prawie swego wschodzenia.

Fakta te w rzeczywistości mieć mogą niezmierną doniosłość, gdy p. Ville ukończy próby z koniczyną, burakami, rzepką, lnem, konopiami i t. d. równie pomyślnie, jak z pszenicą, rzepakami i grochem. Wtedy ziemię bezpłodną znikną, a stepy i pustynie zamienią się w bogate urodzajem łany i w sztuczne łąki, wracające w pierwszym roku nakłady. Aż dotąd uprawa zasadała się na rozprowadzaniu w masie na gruntach nawozów złożonych, jakoto: kompostów, pudretów i t. p., celem zużytkowania wszystkich ich części składowych. Wystrzegano się siać pszenicę po pszenicy, buraki po burakach. W nowym systemie p. Ville ostrożności podobne są zbyt cenne: cztery materje zasilające, dodawane powoli, kolejno, z przewyżką tej która zapewnia plon najobfitszy, wystarczą dla użyczenia każdej ziemi.

Nowy system uprawy chemicznej gruntów ma przed sobą przyszłość, oparty jest bowiem nie tylko na danych naukowych, ale co ważniejsza, na doświadczeniu; potrzeba jednak długo czekać, zanim znajdzie tak szerokie zastosowanie, o jakim marzy uczony profesor.

* * *

Notujemy ciekawy fakt restauracji zwłok ludzkich, dokonanej przez znakomitego lekarza angielskiego Richardsona. W pewnym domu w Londynie zamordowano kobietę, którą na kilka chwil przedtem widziano wchodzącą tam z mężczyzną, znikłym następnie bez śladu. W parę tygodni po tym wypadku wydobyto z Tamizy ciało człowieka, uległe już rozkładowi i zmienione nie do poznania. Wnosząc jednak ze wzrostu i z ubioru, mniemano powszechnie że to były zwłoki poszukiwanego przez sprawiedliwość przestępcy. Dla wyjaśnienia kwestyi zarządzone śledztwo sądowe nie dało żadnego rezultatu. Wtedy doktor Richardson objawił gotowość przyprowadzenia do stanu pierwotnego zmienionych rysów topielca. Za pozwoleniem władzy, lekarz ów wziął się bezzwłocznie do tej szczególnej restauracji. W obec kilku swych kolegów umieścił on ciało w roztworze soli kuchennej, do którego z kolei dodawał rozmaite sole sody; następnie wpuścił w żyły chlorek cynku i żelaza, rozpuszczone w wodzie chlorkowej. Rezultat doświadczenia, trwającego sześć godzin, przeszedł oczekiwania; postać nieboszczyka odzyskała linie pierwotne, barwa niebiesko-czarna zmieniła się w sino-popielatą, a rysy twarzy stały się o tyle wyraźne, że trzech świadków którzy widzieli oblicze złooczyńcy, mogło zaprzysiąc teraz przed sądem, że zwłoki zakwestyonowane nie były podobne do poszukiwanego przestępcy.

* * *

Zamykamy sprawozdanie nasze rysem ważnego zakładu, od ośmiu już miesięcy istniejącego w Warszawie, o którym przecież, pomimo usług jakie każdodziennie oddaje, pisma peryodyczne zachowały milczenie. Chcemy mówić o ambulatoryum leczniczym galwano-elektrycznym doktora Mikołaja Brunera, przy ulicy Bielańskiej pod N. 608 istniejącym, urządzonym według systemu znakomitego profesora berlińskiego ś. p. Remaka, rodem Poznańczyka, ucznia i przyjaciela Humboldta. Obejmuje ono najnowsze przyrządy do elektryzacji, połączone z sobą za pomocą odpowiednich mechanizmów, (*) i w porównaniu z aparatami podobnego rodzaju zaprowadzonymi w niektórych stolicach Eu-

(*) Urządzeniem ich zajmował się mechanik tutejszy, pan Ignacy Pauli.

ropy, przewyższa je tak liczbą, jak i udoskonaleniem składowych części, wzajemnie się dopełniających.

Zastanówmy się nad stopniowym rozwojem elektro-galwanizmu, aż do chwili w jakiej tenże z pola fizyologicznych doświadczeń, przeszedł w szeroki dział medycyny, a mianowicie galwano-terapii, której twórcą był sławny Remak.

Jeszcze przed Hipokratesem i Dioskoridem, a zatem na sześć wieków przed Chrystusem, odkryto własność bursztynu przyciągania ciał lekkich. Zjawiska jednak tej szczególnej siły przyciągania przemijały bez badań. Świat starożytny, po przestając na prostej znajomości faktów, wolał nurzać się w morzu metafizycznych utopij i filozoficznych abstraktów; pokolenia zaś późniejsze nie odstępowały na krok od powagi poprzedników. Fizyka zostawała w powijakach prawie do końca 16go wieku, w którym dopiero Gilbert z Gloucesteru, lekarz królowej Elżbiety, w księdze swjej o magnesie, uporządkował w pewien systemat objawy tej natury. W spostrzeżeniach Boyle'a z téjże epoki znajdujemy, że bursztyn, lak, szkło, wosk, nie tylko przyciągają drobne ciała, ale je z kolei odpychają; zaś Otto de Guericke odróżnia już elektryczność statyczną, (w spoczynku) od elektryczności dynamicznej, (w ruchu) i rozdziela ciała na idioelektryczne i anelektryczne, według stopnia siły jaką objawiają w przyciąganiu ciał, lub braku tej własności. W r. 1729 Grey, fizyk angielski, dzieli ciała na dobre i złe przewodniki elektryczności. Między rokiem 1732 a 1737 poznano odmienne zachowanie się strumieni dodatnich od ujemnych, a wkrótce potem Muschenbroeck, Allamon i Kunoeus zbudowali butelkę lejdejską. Około roku 1745, na drugiej półkuli świata, Franklin odbywa zdumiewające doświadczenia z konduktorami, wydzierając niebu pioruny, co pobudza Europę do prób na tej drodze, w których odznaczają się Doppelmayer i Richman, rażony śmiertelnie płynem elektrycznym w r. 1753. W Lipsku w r. 1744 Quelmaltz zastosowywał po raz pierwszy elektryczność statyczną do medycyny, w czem go naśladują Nollet we Francji około roku 1746 i Ludwik Jallabert w Genewie w r. 1747. Stos Volty zjawia się w r. 1792 i w tymże czasie nową tę siłę, od Galvaniego, galwanizmem zwać poczęto. Następują dalej piękne doświadczenia Humboldta z prądami galwanicznymi, pod względem ich wpływu na organizm, których uczeń jego Grappengisser używać poczęł do leczenia chorób. Odtąd elektryczność zajmuje nie tylko fizyologów i fizyków, ale i lekarzy. Z odkryciem przez Becquerela prądu stałego galwanicznego, a przez Oerstedta, profesora fizyki w Kopenhadze, w r. 1819 prądu magneto-elektrycznego, nowa siła zyskuje coraz szersze zastosowanie. Faraday nakoniec do tych odkryć dołącza w r. 1832 prądy galwano-magneto-indukcyjne, które Duchene wprowadza do medycyny, nadając zjawiskom indukcji nazwę faradyzacji.

Obok powyższych pracowników naukowych, wymienić nam z kolei wypadka dwa wielkie imiona: Du Bois Reymonda, profesora fizjologii w uniwersytecie berlińskim, wynalazcy pierwszego przyrządu indukcyjnego zbudowanego przez Bretona w Paryżu, i Remaka, który odbył pierwsze próby z prądem stałym galwanicznym i według własnego pomysłu urządził w r. 1857 aparaty elektryzacyjne, zastosowane do leczenia chorób.

Nowy system Remaka, wprowadzony do terapii, znalazł, jak każda prawie nowość, zamiast poparcia, niewiarę i opozycję. Pomimo tego twórca jego nie ustawał w trudnym zadaniu, przekonany o istotnym pożytku swjej metody. Pod wpływem umiejętnej zastosowania prądów galwano-elektrycznych, ustępowały najuporczywsze cierpienia nerwowe, dotąd nieuleczalne, nerwobóle, nieczułości skórne, mokrzenia nocne, schnięcia młeczopacierzowego, przedwczesne niemoce, podagry, reumatyzmy, paraliże mięśniowe i skórne, wysięgi, (stwardniałości) i t. p. Terapia zacerpnęła nową, dotąd jej nieznaną siłę. Niedługo jednakże Remak cieszył się owocem prac swoich, które nakoniec zaczęto oceniać, zgasł bowiem przedwcześnie, pozostawiając uczniom swoim ukończenie rozpoczętego dzieła. Na podstawie to jego systemu opartym jest urządzenie ambulatoryum leczniczego warszawskiego, z ulepszeniami jakie postęp nieustanny nauki poczynił dozwolił. Obejmuje ono następujące przyrządy:

SZKICE I TYPY WARSZAWSKIE.

Rysował F. Kostrzewski.



— Cóż Marysiu, byłaś wczoraj na maskaradzie?
 — A jakże, proszę pani.
 — I dobrze się bawiłaś?
 — O cudnie! aż do piątej... i nikt mnie nie poznał.
 — Musiałaś być doskonale przebrana?
 — Gdzie tam!... byłam przez maski... tak jak zawody w niedzielę.

1. Wielki aparat galwaniczny, systemu Remaka, wykonany w zakładzie pp. Siemens i Halske w Berlinie, składający się:

a. Z baterji o 60 elementach, dającej prąd galwaniczny z dotąd znanych najstalszy. Każdy element tworzy słoż szklany 9 cali średnicy mający, z daszkiem glinowym, pod którym znajduje się blaszka miedzi, zwinięta w kształt dwóch liter S przecinających się z sobą. Łączy się on z rurą szklaną, ponad słoż wychodzącą i pokryty jest masą papierną 4 cale wysoką. Na tej spoczywa cylinder cynkowy, zanurzony w roztworze siarczanu magnezy; blaszka zaś miedziana nurza się w stężonym roztworze koperwasu miedzianego, którego kryształki aż w rurze szklanej mieszcza się.

b. Z klucza (wybornika, batterie, Wähler) służącego do włączania tyłu elementów, ile wymaga potrzeba, poczynając od 1go aż do 60ciu.

c. Ze zwrotnika (Polwechsel) dla wywoływania zmiany biegunów i kierunku prądów, bez odejmowania przewodnika od ciała poddanego operacji.

d. Z galwanoskopu wykazującego siłę baterji i opór jaki przez prądy jest pokonywany, przy działaniu ich na organizm.

e. Z reostatu (moderatora), służącego do osłabiania lub wzmacniania siły prądu, bez spowodowania w ciele najmniejszego wstrząśnienia, co jest niezmiernie ważnym przy nerwobólach, tudzież przy użyciu prądów na głowę działających.

f. Z przyrządu zegarowego (pomysłu dra. Brunera), dla przerywania z szybkością niezmierną prądu galwanicznego w organach poddanych elektryzacji.

2. Dwa wielkie przyrządy indukcyjne stałe, w związku z kluczem wspólnym będące, zbudowane według metody Du Bois-Reymonda, z których słabszy ma rolki 3 calowe i daje nieskończoną liczbę uderzeń na sekundę; drugi zaś mocniejszy, z 6 calowymi rolkami, daje dowolną liczbę uderzeń młotka, poczynając od 2ch do kilkunastu na sekundę. W obu jądro 6 calowe z drutów, odpowiednio w pęczek podłużny ujętych, służy do wywoływania różnej siły prądów indukcyjnych. Za pomocą tak zwanych zmienników, oba te aparaty dają w mgnieniu oka prądy indukujące, (extra-courants, primäre Ströme), lub też prądy indukowane (courant induits, secundäre Ströme. W ruch je wprowadza bateria Smeego, tu po raz pierwszy zastosowana. Obok tego za pośrednictwem tak zwanego prądostianu, (Stromwechsler) dwa powyższe przyrządy indukcyjne przeprowadzone są przez zwrotnik, przyczem tenże prądostian służy do sprowadzania prądu stałego lub przerywanego, przez przesunięcie odpowiednich korbek.

3. Wielka machina elektryczna do elektryczności statycznej, zastosowanej w razie gdy elektrody (końce konduktorów) nie mogą być do ciała przyłożone, z powodu wielkiej tegoż drażliwości (w nerwobólach). Machina ta ma być zastąpioną przez przyrząd Hempla, w roku zeszłym przez nas w Tygodniku Ilustrowanym opisany.

Oprócz powyższych aparatów, używane są jeszcze w ambulatoryum w razie zajść mogącej potrzeby:

4. Bateria Daniela o 40 elementach, przenośna, z podobnym jak przyrząd galwaniczny aparatem.

5. Wielki przyrząd rotacyjny magneto-elektryczny, używany wtedy, gdy potrzeba łączyć prąd przerywany z elektrolizą (rozkład chemiczny dokonywany w organizmie), z Wiednia sprowadzonym w stanie.

6. Bateria Bunsena o wielkich powierzchniach, do operacji galvano-kaustycznych, to jest za pomocą druta rozpalonego prądem galwanicznym dokonywanych.

7. Różne przyrządy indukcyjne przenośne Bretona, Du Bois-Reymonda, Storera, aparaty do elektryzacji krtani, narzędzi głosowych, uszu i t. p.

Wymienienie powyższych narzędzi może dać wy-

obrażenie, na jak szeroką skalę zakład ten galwanoelektryczny jest rozwinięty (*).

Skutki fizjologiczne prądów, zwłaszcza galwanicznych, są godne szczególnej uwagi, dają bowiem zjawiska zupełnie odrębnej natury. I tak: rodzą phospheny, to jest sprawiają oku uczucie światła w postaci świetnego pierścienia, nie tylko za przyłożeniem elektrodów do skroni, ale nawet do odleglejszych części, jak np. do karku, aż do piątego kręgu szyjowego, i to przy użyciu bardzo słabych prądów. Wzbudzają uczucie smaku kwaśnego lub alkalicznego, odpowiednio do ustroju człowieka, czy to za przyłożeniem elektrodów bezpośrednio na język, czy też dalej, jako to do mleczka pacierzowego, a nawet do nóg, co najjaśniej przekonywa, że prądy galwaniczne przenikają nawskróś całe ciało. Osłabionym organom słuchu, jak np. w głuchocie nerwowej, dają wrażenie dźwięków metalicznych, czego nie doznają osoby zdrowe. W ogóle prądy powyższe wprowadzają w organizm znaczną ilość elektryczności, nie sprawiając przytęm żadnego wstrząśnienia; co więcej, wzmacniają sen u osób go pozbawionych, podnoszą ciepło i transpirację i działają w sposób uspakajający drażliwość nerwową.

Niemniej ciekawe jest zachowanie się biegunów. I tak nerw smaku okazuje się czulszym na biegun dodatni, retyna zaś na ujemny. Nerw słuchu staje się czulszym za przyłożeniem bieguna ujemnego niż przy jego odjęciu, odwrotnie zaś tenże nerw większą ma czułość przy odjęciu bieguna dodatniego, aniżeli przy jego przyłożeniu. Dodatni rozszerza naczynia skórne, wywołując zaczerwienienia, ujemny działa wprost przeciwnie. Są to objawy przekonywające o silnym wpływie prądów na organizm, które w ostatnich dopiero czasach medycyna zastosowa-

(* Obecnie urządzają się jeszcze dwa wielkie przyrządy przenośne, tej samej konstrukcji co aparat galwaniczny, dla chorych niemogących udawać się do ambulatoryum.

(Ob. dodatek).

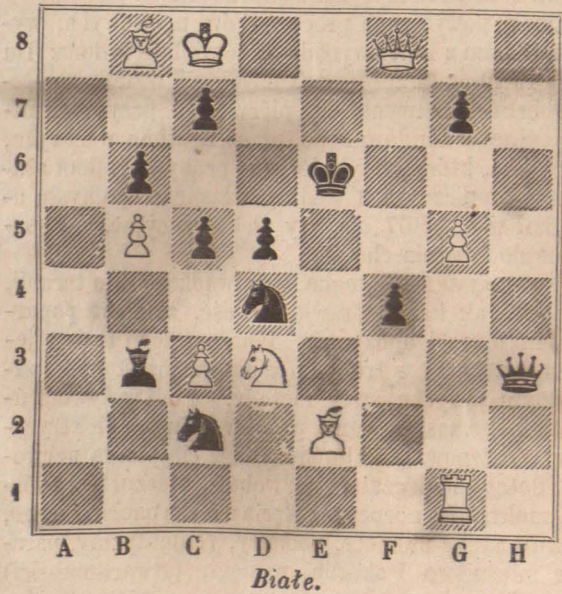
Szachy.

ZADANIE CCCXLIV.

(Stanisława R. w Warszawie).

Białe zaczynają i dają mata za 4-tém posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 343.

Białe.

Czarne.

- 1) D4—F5+ 1) E6—F5. biorą.
- 2) C2—C3+ 2) B4—C3. biorą.
- 3) B2—A3+ i mat.

Jeżeli czarne w pierwszym posunięciu nie biją, to zaraz dostają mata laufrem lub królową; jeżeli zaś w 2gim posunięciu nie biją, królowa matuje na D4 lub E5.

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 387.
 Odnawiana miłość tak trwała, jako marcowy lód.
 (Dodatek).

ła do leczenia chorób, kierując się drogą przez fizyologię wytkniętą.

Byliśmy świadkami kilku operacji odbytych na osobach uległych dotkliwym cierpieniom. Widzieliśmy człowieka od dwóch miesięcy pozbawionego władzy w rękę, w skutek przeniesienia zbyt ciężkiego ciężaru, który po trzech elektryzacyach mógł doprowadzić rękę do głowy, co przedtem było niemożliwym. Znamy też osobę wyleconą z nieznośnego bólu nerwu kulszowego, (Ischias) a z faktów tych wnosimy, że ambulatoryum dra Brunera, ucznia Remaka, zaopatrzone w doskonałe przyrządy, może oddać miastu naszemu istotne usługi. N.

PIĘRWSZA PACYENTKA.

Kartki z powieści p. n. „Poniewczasie“

przez
Władysława S.

(Dokończenie).

— Patrz, tutaj plama krwawa.
Doktor patrzył i nie wierzył swym oczom, wziął szkło i popatrzył jeszcze.
— To barszcz! rzekł uśmiechając się.
— Jakto! więc to nie krew? — zawołał niespokojny poeta.
— Ale bynajmniej, — odrzekł stanowczo doktor.
— I nie mylisz się? patrz lepiej!...
— Omylić się niepodobna, Adasiu. Przyjrzyj się tylko sam...
— A kaszel?... — pytał z żywością Adaś.
— Kaszlu nie było wcale... zakrzuszenie... — odpowiedział lekarz.
— Niebezpieczeństwo przecież istnieje!... symptomat... rumieniec...
— Wszelka obawa, o ile to jest w mocy ludzkiej, zostanie usunięta wkrótce i stanowczo, — mówił Eskulap..
Niespokojność Adasia zaczęła w radość się przeobrażać.
— Co za szczęście! — zawołał, nie śmiąc jeszcze przejść z obawy do słodkiej nadziei, — a więc nie masz potrzeby żenić się, doktorze?
— Owszem, drogi Adasiu, odpowiedział szczęśliwy doktor; oświadczyłem się wczoraj i jestem przyjęty.
Adaś osłupiał.
Straszna walka toczyła się w tej chwili w jego biędnej, młodej duszy. Nielitościwie zepchnięty ze szczytu błogich marzeń, które znowu uśmiechać mu się zdawały, spostrzegł okropną pewność.
Wszystko stracone... nie było żadnego ratunku!
Szczęście i radość, malujące się na twarzy Ludwika, mówiły najwyraźniej, że środek doradzony przez Adasia nie był dla niego wcale bolesną ofiarą. Niepodobna było myśleć o doradzeniu mu cofnięcia się, a niepodobna także było brać mu za złe, że obrał tę drogę, która zresztą jedynie i stanowczo prowadziła do celu. Adaś będzie nieszczęśliwy, będzie rozpaczał, mniejsza o to! Kuzynka zato będzie otoczona staraniami człowieka nieskazitelnej prawości, człowieka co ją kocha i wart być kochanym, a człowiek ten najlepiej zdoła ocalić ją od groźącego niebezpieczeństwa. Precz z egoizmem!... ofiara nie byłaby ofiarą, gdyby Adaś kielicha jęj nie spełnił do dna. Miliej jest skarb swój stracić drogą poświęcenia, niż go mieć przez konieczność wydartym. Wytrwać potrzeba, zwłaszcza kiedy upadek na nie się nie przyda. Adasiu, stań się mężem, bo niema wyboru!

I Adaś stał się mężem, nie upadł.
Mimo zranionego boleścią serca, wyraz rzewnej życzliwości zabłysł na jego młodocianej twarzy... chwila jeszcze... i uściskał Ludwika.

— Winszuję ci, doktorze! mówił tłumiąc łkanie biędny swat swego ideału.

W godzinę potem Adaś już był o tyle panem swego serca, że o sobie zapomniał i tylko myślał o tém że jego droga... kuzynka, w najlepszy jaki był w mocy ludzkiej sposób, zabezpieczoną zostanie od groźącego nieszczęścia. Gdyby mógł, radby przyspieszyć chwilę ślubu; ale to było témbardziej niepodobne, że adwent stał na zawadzie. Postanowił więc przynajmniej przysłużyć się Ludwikowi i uczynić jego ożenienie tryumfem.

— Wiész, doktorze, zawołał z odradzającą się wesołością, myśl wyborna!

— Cóż takiego? zapytał Ludwik.

— Pomścimy się nad Pilicą.

— Zaco znowu?

— Za plotki, za bawelniane serce, za trąbkę, za wszystko!...

— Aj dzieciaku, odrzekł z uśmiechem Ludwik, i tyż się to mścić będziesz za rzeczy, do których sam należałeś?...

— Mniejsza o to, rzekł Adaś, będzie to dla mnie karą, że stanę się kary współwinnym narzędziem. Zrób to dla mnie, doktorze, przystań.

I Adaś opowiedział Ludwikowi swój plan.

— Taka niewinna zemsta... no, to zgoda, odpowiedział wysłuchawszy go Ludwik.

Adaś pobiegł na pocztę.

Zobaczywszy przedmiot swych marzeń, uczuł że mu serce się krwawi i nie mógł się powstrzymać od chętki drobnej chociażby pomsty nad niewierną, co się jego poetycznym rojeniom przeniewierzyła z najczystszeń sumieniem.

— Moje uszanowanie pani konsyliarzowej dobrodziejce, rzekł witając ją dziwnym głosem.

Marynia raczka spiekleła. Adasiowi zrobiło się jej żal. Zmienił więc ton odrazu i wcale w inny sposób plan swój jęj wyłożył.

Psota-Marynia przystała na wszystko.

— Trzeba także i wujaszka zwerbować do spisku, mówił dalej, i to ty, kuzyneczko, musisz wziąć na siebie.

— A jak nie przystanie?...

— To mu powiedz, kuzynko, że przysłyżę cię wezwie go urzędownie, ażeby tak postąpił *ad rem*, czyli w interesie służby zdrowia, jest to bowiem konieczne dla uleczenia miasta z choroby bajarstwa... Zgoda?

— Zgoda.

— A teraz, mościa pani, mówił Adaś biorąc jęj rękę, pozwól mi się oddalić, i złożyć pocałunek na tym oto paluszku.

— Czemuż koniecznie na tym? spytała prawniczka Ewy.

— Bo... bo widzisz kuzynko, odrzekł chowając oczy Adaś, jak na nim będzie obrączka, to ja go już nigdy nie pocałuję.

To powiedziawszy, wybiegł szybko i udał się na plebania, gdzie miał z księdzem kanonikiem, proboszczem parafii pilickiej, długą na osobności konferencyą.

Pocziwy ksiądz kanonik śmiał się bardzo podczas rozmowy, a Adaś wyszedł zacięrając ręce.

— Teraz potrzeba tylko okłamać waciarkę, mówił do siebie.

VII.

Epidemia.

Przez ciąg kilku tygodni, które upłynęły od dnia eksplozy plotek, jaka miała miejsce nazajutrz i na trzeci dzień po przyjeździe doktora, elokwencya pilicka zużyła się, jak to było do przewidzenia, zwłaszcza od chwili gdy Ludwik powziął rozsądne postanowienie nie zajmowania się bajkami i niebrania do serca szpilkowych ukłuc złościwości małomiejskiej. Wizyty jakie nasz bohater składał w domu Dzieców, stały się rzeczą powszednią, znaną każdemu, obgadana, a przez to samo dla każdego obojętną. Gadatliwość parafialna znalazła świeże żywioły: rozmawiano o nowym futrze pani podsędkowej, na które mąż podobno nie chciał dać pieniędzy, o wieczorach jakie pani pisarzowa i pani burmistrzowa zamierzają wydać w karnawale, i o tysiącu innych rzeczy, stanowiących codzienny przedmiot pogadanek miasteczkowych, do których materiału dostarczała wytrwale miejscowa gazeta...

Miejscowa gazeta?... anachronizm!... zawoła czytelnik, świadomy tej okoliczności, że dziennikarstwo prowincjonalne tak dopiero niedawno w królestwie kiełkować zaczęło.

Za pozwoleniem!... chwileczkę cierpliwości, a łaskawy czytelnik przekona się że już w owej epoce, równie jak przedtem i potem, nasze małe miasteczka, a wszczególnie Pilica, miały swoje miejscowe gazety, formy i redakcyi różnej od wielkomiejskich, lecz kto wie czy nie dokładniejsze.

Redakcyą i chodzącym egzemplarzem takiego mia-

steczkowego czasopisma była pani Szmulowa, wdowa, matka siedmiorga dorosłych dzieci, które wszystkie, oprócz rozlicznych procederów, były współpracownikami w jęj zawodzie dziennikarskim i dostarczały jęj nowin.

Abonentkami były wszystkie panie i panny pilickie, i tak jak warszawianie swojego jedyne go wówczas Kuryera zwali *Kuryerkiem*, tak prenumeratorki miasteczkowe nazywały swoją chodzącą gazetę *Szmulciową*.

Gazeta wychodziła codziennie i przyjmowała doniesienia i reklamy z taką samą skwapliwością i punktualnością, jak warszawski Kuryerek, który był codziennym, chociaż *Codzienny* jeszcze nie istniał.

Do tej tedy redakcyi Adaś zaniósł doniesienie, że doktor zamierza się ożenić, i że jeśli Szmulowa z należytą dyskrecyą partyą odpowiednią w mieście Pilicy mu wyszuka, sto osiemdziesiąt złotych *baares Geld* dostanie.

— Nu, a czemu on sam nie przyszedł? zapytała Szmulowa, pragnąc mieć lepszą gwarancyą wypłaty przyrzeczonej sumy.

— Nie wypada, widzicie, kochana Szmulciowa, tłumaczył Adaś. Coby to ludzie powiedzieli, żeby on, co niedawno jest w mieście, przychodził do was, nieznanomy, ni z tąd ni z owąd? Interes trzeba robić w wielkiej tajemnicy.

— Nu, a czemu on nie chce jakiej obywatelskiej córki? indagowała dalej waciarka; to nieowiele drożej. Za jakie trzysta złotych jaby jemu wynalazła dziedzicównę.

— Chce osiąść w mieście i zjednać sobie mieszkańców, przekonywał poeta; jeśli by cudzych bogów szukał, toby mu wszyscy za złe mieli.

— Nu, a czemu on chodzi na pocztę? Ludzie mówili że on tam się żeni.

— Ale gdzie tam, moja Szmulciowa; to zawsze ludzie tak gadają. Na poczcie by go chcieli... panna udaje chorą, więc chodzi jako doktor, ot i wszystko. On jęj nie chce. On chciałby córkę jakiego urzędnika, mającego znaczenie w mieście. Wy to najlepiej rozumiecie, Szmulciowa. Zajmijcie-no się tylko.

W ten sposób długo rozmawiał jeszcze Adaś ze Szmulową. Waciarka przystała na wszystko, wytargowawszy wprzód że całe dwieście złotych dostanie i przyjmując na siebie uroczyste zobowiązanie, że sprawę będzie prowadziła najostrożniej, bez widywania się osobistego z doktorem.

Uszczęśliwiony z takiego obrotu rzeczy Adaś, chciał już wychodzić.

— Nu, a zadatek zawołała Szmulowa.

Adaś dał jęj trzy ruble.

Nazajutrz rano wszystkie panie urzędniczki mające córy na wydaniu, odebrały wizytę waciarki; mimo bowiem dość podeszłego wieku, Szmulowa umiała tak prędko chodzić, że ktoby nie wiedział o tym jęj przymocie, mógłby ją łatwo wziąć za ubikwistkę.

Zdarzało się nieraz, że wieczorem pani burmistrzowa mówiła do pani pisarzowej:

— Waciarka była dziś rano u mnie i mówiła...

— Była u pani prezydentowej? przerywała pisarzowa, a o której godzinie?

— O dziewiątej.

— Dziwna rzecz!... u mnie była także o dziewiątej.

I dwie panie nigdy skontrolować nie mogły, której waciarka wcześniej swoje wiadomości przynosi.

Otóż nazajutrz, o godzinie dziewiątej, zaledwie mężowie wyszli do biura, panie urzędniczki odebrały wizytę Szmulowej.

— Czy niema czasem waty do przeróbki? pytała wchodząc.

— Niema, moja Szmulciowa, odpowiadała urzędniczka. Ale chodźcie no tutaj, napijcie się likieru.

Szmulciowa lubiła likier.

— No, a co tam nowego? pytała pani domu po poczęstunku.

Gazeta recytowała potoczne nowiny.

— Wszystko to nie dla mojej Kłoci, odpowiadała wdychając matka.

— Nu, a jak dla panny Kłoci jest także co nowego, to co? mówiła z tajemniczą miną redakcyja.

— O moja Szmulciowa, wy wiecie że ja nie jestem skąpa. Ten mój szlafroczek w paski dla was, jeśli co dobrego.

— W paski?... nu, on farbowany; ale tymczasem niech będzie i on. Już ja dla mojej pani tobym sobie od ust odjęła, żeby mi tak Pan Bóg szczęście dał. Jak się pani dobrodziejka dowie, to pani zawsze co dołoży.

— Dobrze, dobrze Szmulciowa.... a więc co?

— Cóż ekstrafein, powiadam mojej kochanej pani, coś ekstrafein, mówiła rozkoszując się waciarka; kamienica w Warszawie! Mój szwagier, rudy Berek, ten co koźmi handluje, on widział tę kamienicę.... to osobliwa kamienica, cała na żółto malowana....

— I on ma tę kamienicę?

— Nu, jego matka ma, a ona stara, a on jedynak.

— To doktor! odpowiadała odgadując matka.

— Nu, a jakby on? to co? pytała z dumą Szmulowa.

— Ależ on się kocha na poczie.

— Czy to Szmulowa kochanej pani powiedziała, że pani wierzy? Ja zawsze kochanej pani mówiłam że to nie prawda.

Szmulowa była rzeczywiście pierwszą, co roztrąbiła tę pogłoskę; ale panie pilickie nie wymagały od swjej gazety nazbyt wielkiej konsekwencji, jakby się tej pobłażliwości od prenumeratorów niektórych pism stołecznych nauczyły.

— Wié kochana pani czemu on chodzi na poczę? prawda dalej Szmulowa. Nu, bo jego tam ciągnę; Marynia udaje chorą, to on i chodzi, bo doktor; ale zawsze on jej nie chce. Ja kochanej pani powiadam, on wolałby pannę Klócię.... A chce kochana pani żeby on przyszedł?... Nu, co to tak trudnego?... Albo to panna Kłocia nie jest słabowita.

Panna Klotylda była sobie rumianym aniołkiem, tłuściutkim a krępowym jak pulpecik, co jednak nie przeszkadzało bynajmniej matce odpowiedzieć:

— W istocie, moja Szmulowa, Kłocia to takie delikatne dziecko.

— Nukiędy tak, kończyła spiesząc się dalej Szmulowa, to ja kochanej pani nie powiem więcej, tylko że trzeba mieć rozum, a o tém co Szmulowa mówiła nikomu ani jedno słowo!....

I chodząca gazeta chowała szlafrok w paski w szpaltach swojej spódnicy, tak że najprzebieglejszy celnik nie domyśliłby się kontrabandy, a w chwilę potem wchodząc do innej pani, pytała zawsze jednakowym tonem:

— Czy niema czasem waty do przeróbki?...

Było to, jak już wiemy, we wtorek.

Następnego dnia, czyli we środę, w mieście okregowem Pilicy wybuchła straszna epidemia, do której w dziejach tylko dziesiąta plaga egipska mogłaby być porównana.

We wszystkich domach urzędniczych, mających córki na wydaniu, zachorowały pierworodne.

Doktor odebrał aż siedem grzecznych bilecików, proszących by coprędzej spieszył na ratunek. Sześć było podpisanych przez rozmaite matki, które przed kilku tygodniami tak kwaśno przyjmowały konsyliarza; siódmy podpisał regent kancelaryi ziemiańskiej okregu i miasta Pilicy, którego dom najsrożej dotkniętym został; tam bowiem, oprócz Władzi, mającej początki żółtaczki, i której już raz Ludwik receptę zapisał, pierworodna Jadwiga czuła się w obowiązku zachorować.

Ludwik z całym poświęceniem rozrywał się na wszystkie strony i znalazł słodką nagrodę swjej gorliwości: przyjęcie jakie go spotykało wszędzie, ani w porównanie pójść nie mogło z tém, jakiego doznał poprzednio.

Pani podsędkowa, pierwsza w grodzie arystokrata, matka dwóch cór dorodnych, Amelii i Melanii, posunęła uprzejmość do tego stopnia, że spostrzegłszy przez okno doktora, wyjść raczyła przeciw niemu do sieni.

— A przecież, przecież, panie konsyliarzu, zawołała, podając mu rękę, którą doktor z należytymszacunkiem ucałował, mówiąc:

— Spieszę co tchu, pani sędzino dobrodziejko.

I pytał z troskliwym niepokojem:

— Wszakże niema niebezpieczeństwa?

— Niebezpieczeństwo, dzięki Bogu, minęło, odrzekła matka. Amelcia mi zemdlą. Biédaczka, zaledwieśmy ją ocucili.

Wprowadzono doktora do dziewiczego pokoju. Panna Amelia, w poetycznym, eleganckim negliżu, niebrzydka zresztą wcale, siedziała w fotelu i starała się wykrzywiać jak umiała.

Pocziwa dusza, której się nigdy w życiu zemdléć nie zdarzyło, nie umiała udawać inaczéj następować mogących po zemdleńniu symptomatów, jak robiące najdziwniejsze grymasy.

— Cierpliwości, mówił doktor wchodząc, cierpliwości pani, to przejdzie. Proszę o rączkę.

Panna Amelia, w pośpiechu czy boleści, wyciągnęła obie.

Ludwik dotknął jej pulsu i mówił jakby do siebie:

— Egzaltacja... uczuciowość... wrażenia...

— O tak, panie konsyliarzu, odpowiedziała pacjentka, ja taka jestem uczuciowa!... zemdlalam!...

I nanowo rozpoczęła grymasy.

— To niedobrze, panno Amelio, prawil doktor-skim tonem młody medyk. Posiadasz pani wszystko co potrzebne, by nad uczuciami swemi panować i tak drogiego zdrowia nie narażać. Nam to raczej mężczyznom przystałoby w obec pań nie módz owładnąć swych wrażeń....

Zabawił jeszcze chwil kilka, zapisał receptę i wyszedł, obiecując niezadługo powtórna wizytę.

Zaledwie odgłos kroków doktora przestał dochodzić do pokoju, panna Amelia zerwała się z fotelu i zawołała klaszcząc w ręce:

— A co?... nie słyszała mama?... a co?... nie słyszałaś Lańciu?...

— Dajci Boże, moje dziecko, daj ci Boże, odpowiedziała matka.

— Powiedział, mówiła panna Melania, że jak mężczyzna patrzy na Amelcję, to się pohamować nie może..

— A cóż ty znów gadasz? dziewczyno! zawołała podsędkowa.

— Ty zawsze przekręcasz, Lańciu, mówiła z urazą Amelia. Powiedział że nie może owładnąć swych wrażeń...

— Tak, w istocie tak powiedział, świadczyła matka.

Panna Amelia, rozpromieniona, stanęła przed matką i rzekła:

— No i mama myśli że to nie znaczy nic?... I zapowiedział że przyjdzie wkrótce... a jaką troskliwość okazywał!...

— A z jakim uszanowaniem wchodząc pocałował mnie w rękę, wtórowała uszczęśliwiona małżonka podsędkowa.

— W rękę mamę pocałował! zawołała podsędkując Amelka. No, to widocznie dał do zrozumienia że nie jako doktor przychodzi. Doktorzy nie mają tego zwyczaju.

— Może ty masz i racją, Amelciu, przystała z ławnością dająca się przekonać matka.

Panna Amelia w zapale szczęścia biegała po pokoju, brała w rękę i rzucała najrozmaitsze przedmioty, robiła nieład niesłychany, a nareszcie, spostrzegłszy receptę świeżo napisaną przez Ludwika, zmigła ją w palcach i chciała w piec rzucić.

— Nieszczęśliwa! co robisz? zawołała powstrzymując ją matka.

— A cóż to mama myśli, że ja naprawdę mikstury zażywać będę?... jeszcze czego!... odrzekła rozdaśana córka.

— Zażywać nie, moje dziecko, ale posłać do apteki, kupić i skosztować nawet trzeba.

— Ciekawam bardzo, poco wyrzucać pieniądze?

— Aptekarz i doktor, moja Amelciu, tłumaczyła przewidująca pani podsędkowa, to zawsze ze sobą trzymają. No i coby to było pięknego, żeby się doktor spytał aptekarza...

— Rozumiem, rozumiem, moja mamó, przerwała panna. No, to już wreszcie kupić, ale dlaczego skosztować?...

— Żebyś mogła powiedzieć na drugiej wizycie: Ach! jaki pan konsyliarz nielitościwy! to było takie gorzkie!...

— Prawda! prawda! kończyła odgadując myśl matki Amelia; albo: Ach! jakżem wdzięczna panu konsyliarzowi za tę miksturę, której smak tak przyjemny a skutek tak był widoczny! O! bo doktor nie mógł mi nic niedobrego zapisać!... Tak, tak, mameczko, trzeba natychmiast posłać, kupić i skosztować....

Tymczasem Ludwik wchodził w progi mieszkania prezydentowej.

— Witam, witam kochanego pana konsyliarza, mówiła z ujmującym uśmiechem żona szefa magistratury pilickiej. Pan jesteś opatrnością naszego

miasta. Muszę jego staraniom i nauce powierzyć moję Józję, której stan mnie niepokoi....

— Jakto? zapytał z wyrazem najwyższej troskliwości Ludwik, są więc symptomata zatrważające?

— To właśnie pan konsyliarzu osądzić raczy, odpowiedziała burmistrzowa, i choć to może bagatela, nie będiesz się pan dziwił kochającej matce, że się kłopotce i lęka o wątłe zdrowie jedynaczki, tém bardziej że to takie pobożne, takie skromne dziecko!...

— O! pani, odrzekł z powagą doktor, jakkolwiek młody i mało znany, mam nadzieję, że pani prezydentowa wkrótce będzie miała sposobność ocenić, że wiem co to znaczy miłość macierzyńska dla córki, o której anielskich przymiotach tyle dobrego w tak krótkim czasie słyszeć miałem sposobność.

— O! masz pan słusność, panie konsyliarzu, że moja Józja to prawdziwy anioł; to panu każdy powie, nietylko ja, matka, prawila burmistrzowa, wprowadzając doktora do pokoju choréj.

Panna prezydentówna, z książką w ręku, z szyją obwinętą w olbrzymie boa, tak ułożone, że ukrywało w swych zwojach niewielki kaprys jej prawej łopatki, która koniecznie rościła sobie prawo do pewnej wyższości nad lewą, ale odsłaniające najkorzystniej jej twarzyczkę przyjemną i zdrową, siedziała na kozetce, w postawie pół leżącej, pełnej zaniebana i wdzięku.

— Nie wstawaj, moje dziecię, rzekła wchodząc matka, nie wstawaj, mogłoby ci to zaszkodzić. Pan konsyliarzu...

Panna Józefa półuśmiechem i lekkim skinieniem głowy przywitała doktora, nie opuszczając swjej wystudowanej pozycji.

— Pani cierpi? rzekł Ludwik z widocznym wrzuceniem w głosie.

— O tak... panie... konsyliarzu... od tygodnia... gnienie w dołku... zawrót głowy... suchy kaszel...

I jakby na pokazanie się doktorowi w całej okazałości, suchy kaszel uznał za stosowne zrobić straszliwą demonstracją, w czasie której jeden z najprawdziwszych powabów Józji, białe a równe jak rząd pereł zębki, ukazały się oczarowanym oczom Ludwika.

Gdy echo głośzącego paroksyzmu przycichło nieco, nasz bohater ujął z gracją rączkę Józji, dotknął jej pulsu i rzekł:

— Pewne rozdrażnienie w płucach... oh! ale to przejdzie, to wkrótce przejdzie, pani. Jeżeli łaska, panno Józefo, chciéj pani być tak dobrą otworzyć usteczka...

— Cóż to za miły doktor! pomyślała Józja, czyniąc zadość życzeniu lekarza, w sposób pozwalający powtórnie podziwiać jej zębki.

— Żołądek nie zdaje się dotknięty, obserwował lekarz, ale mała dyetka nie zawadzi... Masz pani skarb, panno Józefo, skarb godny zazdrości!... Gdyby takie prześliczne zębki nie były prawdziwą rzadkością, dentyści potopiliby się z rozpacy

Józja skromnie zamknęła usta, lecz w chwilę potem gwałtowny atak suchego kaszlu znowu ją zmusił do ich otworzenia.

— Kończmy prędzej, mówił do siebie doktor, siadając zapisać lekarstwo, bo jeśli tak dalej pójdzie, dziewczyna naprawdę chryпки nabawić się gotowa.

Dał jeszcze kilka rad dyetetycznych i odchodząc rzekł do matki:

— Pozwoli mi pani prezydentowa, że wezmę na seryo jej wezwanie i z całą troskliwością nad zdrowiem panny Józefy nieustannie czuwać będę. Teraźniejsza choroba przejdzie łatwo, choć szkoda że mnie pani prezydentowa wcześniej wezwać nie raczyła. Ale nawet za przyjsciem do zdrowia, rady lekarza zaszkodzić nie mogą. Łatwiej nam chronić od chorób, niż leczyć je gdy się rozwiną. Dlatego od czasu do czasu pragnąłbym widywać córkę pani prezydentowej, jeśli na pani zaufanie zasłużyć potrafię.

Burmistrzowa sponsowała ze szczęścia i z nieprzelicznymi komplimentami wyprowadziła doktora aż do sieni.

Pacjentka kasłała jeszcze strasznie, gdy matka wróciła do niej:

— No, no, dosyć już, dosyć. Poszedł.

Kaszel ustał jak zaczarowany.

Matka pochyliła się ku córce i prawie do ucha jej rzekła:

— Wiész co mi powiedział?

— No co? no co? mamuniu.

— Powiedział wchodząc: „wkrótce dowiedę pani prezydentowej, jak dalece cenię anielskie przymioty jęj córki.

— I wyraźnie powiedział: anielskie przymioty?

— Ale najwyraźniej, co do słowa! odpowiedziała matka; a wychodząc mówił że będziesz zdrowa wkrótce, ale prosił formalnie o pozwolenie bywania, chociaż będziesz zdrowa.

— Doprawdy, prosił?

— Jak cię kocham Józeczko.

— A żeby tej Szmulciowej język ozłociał! zawołała szczęśliwa Józia. To ja mogę wyzdrowieć, mammo?

— Nie wypada, moja Józeczko, trzeba jeszcze z tydzień chorować, zdecydowała matka.

Takich wizyt pięć jeszcze odbył nasz doktor.

Doktor tak dobrze leczył siedem dziewczę, że w ciągu dwóch tygodni nietylko wszystkie były zdrowe, ale nawet w dowód wdzięczności poskładały mu upominki: czapeczki, szelki, pantofle, poduszki haftowane, pugilaresy i tym podobne przedmioty.

Mimo tajemnicy jaką usiłowała utrzymać Szmulowa, panny dowiedziały się że sposobu doradzanego przez nią użyły wszystkie; nie to jednak im nie przeszkadzało tłumaczyć na swoje korzyść wyłączną grzeczne, a do niczego nie obowiązujące słowa, których Ludwik za każdą wizytą, w czasie choroby i po wyzdrowieniu, nie szczędził.

Każda matka dla swojej pierworodnej, każda pierworodna dla siebie, była najpewniejszą zwycięstwa, i śmiała się w duszy z nieużytecznych zabiegów rywalek.

Na poczie tylko tajemnica była dochowaną najściślej. Wszystkie piliczanki sądziły, że Marynia na tę samą epidemię co i one chorowała, lecz były pewne, że doktor jęj nie chce; waciarka bowiem szukała innej żony dla doktora, a nie będąc przez niego zapłaconą, pewnoby tego nie robiła.

Tak przyszła wreszcie pierwsza niedziela po Trzech Królach.

W kościele były wszystkie pacjentki Ludwika, z wyjątkiem jednej Maryni.

Panny myślały w duchu, a siostry cichym szepcieniem powierzały nawet sobie, że poczthalterówna, zrozpaczona niepowodzeniem, drugi raz zachorować musiała, i że tą razą naprawdę zapadła może.

Radość była ogólna.

Do kazania na tę niedzielę, ksiądz kanonik obrał szczególny temat: obmowę, i w krótkości wykazał całą jęj szkodliwość, kiedy jest popełnianą na szkodę dobrej sławy bliźniego, przeszedł do tak zwanych niewinnych plotek, do tego zajmowania się życiem i postępkami cudzemi, do tych komentarzy, jakie wywołują często najniewinniejsze czynności, i wykazywał wymownie całą brzydotę tęg choroby towarzyskiej, która zakłóca pokój rodzin i nieznośnym czyni życie tam nawet, gdzie ono znajduje zkadinał wszystkie warunki cichego szczęścia i spokoju.

Znany z wymowy proboszcz pilicki, nigdy nie był tak przekonywającym, tak namaszczone, nigdy nie uderzał tak żywo i widocznie w jedną z wad rzeczywistych i powszechnych w mieście.

Po kazaniu, przyszło do ogłaszania zapowiedzi, na które nie zwróconoby może uwagi, bo się nie spodziewano nic nowego usłyszeć, gdyby kanonik donośniej niż zwykle głosem, zwolna i wyraźnie nie rozpoczął:

— Następujące osoby zamierzają wstąpić w związek małżeński, według obrządku kościoła katolickiego. Ludwik Groński, lekarz miasta Pilicy....

Pannom tchu zabrakło.

Ksiądz kanonik czytał dalej:

— Zamieszkały poprzednio w parafii św. Andrzeja w Warszawie, obocnie w tutejszej, Marya Dicz, przy ojcu, w parafii tutejszej, zapowiedź pierwsza.

Siedem rumieńców na te słowa zamieniło się w błądność marmurową...

Po wyjściu z kościoła, w mieszkaniu podsejdkowej, która miała salon największy, matki zwołały sejm *ad rem*, jakby to powiedział poczthalter.

Co tam mówiono na tym sejmie, najbiedlejszy stenografy nie spisał.

Stawiano wnioski najokropniejsze przeciw doktorowi, proponowano pomstę straszną, zaprzysięgano nienawiść wieczną; wszystkie jednak te projekta

upaść musiały. Praktyczny zmysł większości obalał je po jednym.

Zdrowy rozum matron pilickich osądził, że niema tego złego, co by na dobre nie wyszło, i że cobądź się zrobiło, tak znova źle się nie stało.

— Ta dziewczyna ma szczęście, mówiono o Maryni, wszyscy się w nię kochali, chociaż to ni z pierza, ni z mięsa. Ani to takie ładne, ani bogate, ani ojciec ma jakie znaczenie. Dobrze że sobie za mąż pójdzie, bo już więcej naszym córkom konkurentów odstręczać nie będzie. A teraz na nasze kolej.

— Ależ to czarna zdrada, zaprotestowała regentówna.

— I chciałabyś ty sama takiego zdrajcę za męza? zapytała podsejdkowa.

— Oh! nigdy w życiu! za nic w świecie! zaklęła się panna.

Postanowiono tedy nie okazywać doktorowi żadnej urazy, bo toby go w dumę wbiło. Maryni winszować, żeby nie myślała że jęj którakolwiek takię... Panie odpuść!... partyi nieszczęśliwej z zdrości, i być zbiorowo na weselu, na którym niezawodnie będzie kilku przyjaciół pana młodego z Warszawy, naturalnie nieżonatych i młodych, a więc nieobojętnych na wdzięki piękności pilickich.

Oprócz tęg postanowienia, powzięto inne jeszcze, o którym wprawdzie nic nie mówiono; ale które wszystkie panie zaraz nazajutrz wprowadziły w wykonanie; gdziekolwiek bowiem uchylały się drzwi i dawał się słyszeć głos: „czy niema czasem waty do przeróbki?“ odpowiadano jednomyślnie: „poszła precz żmijo!“ i trzaskano drzwiami przed nosem.

Gazeta wpadła w niełaskę. Szmulowa darła swoje perukę w rozpacz, i już myślała o przeniesieniu się do innego miasta, gdy po kilku tygodniach jedna z pań zapotrzebowała rzeczywiście waty, za nią druga i trzecia, i ulaskawienie nastąpiło...

Taką jest potęga monopolu.

We dwa tygodnie po pierwszej zapowiedzi, odbyło się na poczie wesele, na którym cała urzędnicza Pilica, matka pana młodego z Warszawy i kilku jego krewnych i przyjaciół, byli obecni.

Biedny Adaś druzbował na ślubie kuzynki. Reszta młodzieży pilickiej dąsała się z razu niezmiernie, lecz wkrótce pogodziła się z doktorem.

Regentówna tylko zaprzysięgła zemstę, a Władzia w coraz większą zapadała żółtaczkę, co także nie dobrego nie wróżyło.

Tak się zaczęło nowe życie dla dwojga bohaterów naszych....

KONIEC.

KORRESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTRWANEGO.

Lwów, w lutym 1867.

Walne zgromadzenie Towarzystwa gospodarskiego było głównym przedmiotem publicznego zajęcia temi dniami. Zjazdy te, odbywane dwa razy do roku, stosunkowo nie bywają liczne. Na tysiąc kilkuset członków Towarzystwa, przybywa zaledwie kilkudziesięciu, i to po największej części ci, których oprócz tego inne sprawy powołują do Lwowa, jak na przykład zimową porą zapusty, a w lecie kontrakty, bo zgromadzenia właśnie w tęg odbywają się porze.

Równocześnie urządzono wystawę rolniczo-przemysłową w wielkiej sali Zakładu Ossolińskich. Chociaż pomysł urzędzenia wystawy powzięto zaledwie na kilkanaście dni przed zebraniem się Zgromadzenia, wszelako rolnicy i przemysłowcy pospieszyli tak chętnie odpowiedzieć wezwaniu, iż wystawa, acz niewielka, przedstawiła jednakowoż dosyć dobry obraz przemysłu krajowego. Dział rolniczy najobficiej zaopatrzył Dublany. Wyborowe gatunki zboża ztamtąd nadesłane zwracały na siebie wszystkich uwagę. Runa owiec dublańskich otrzymały medal. Wystawa tytoniów prześcignęła wszelkie oczekiwania. Były tam liście tak olbrzymiej wielkości i tak dobrze pielęgnowane, iż przypomniały amerykańskie rośliny tęg plantacyi. Kokony jedwabnicze rozmaitych gatunków, a nawet wyrobione już z krajowego jedwabiu fulary są dowodem, że jedwabnictwo u nas, przy staranności i umiejętnym prowadzeniu, na mniejszą przynajmniej skalę udać się może.

Dział leśny miał także swoje osobliwości. Z borów podkarpackich przysłane dębowe brusy, około

cztery łokcie wysokości mające, świadczą o olbrzymiej lasów tamecznych roślinności. O pierwszeństwo z niemi spółzawodniczą olbrzymie masztowe jodły łopatyńskie.

Najpiękniej jednak dla oka wyglądał dział przemysłowy. Przedmioty były ustawione z pewnym artystycznym wdziękiem, uwydatniającym ich ozdobność i użyteczność. Wyroby koszykarskie p. Kellera ze Lwowa przedewszystkiem uderzały swą wytwornością. Były tam kosze na kwiaty i z kwiatami, klatki o złożonych wieżyczkach, wschodnie naśladowujących minarety, ozdobne etażerki, wygodne, do poobiedniej drzemki nęcące fotele i tym podobne ku przyozdobieniu salonów sprzęty, za które p. Kellerowi także medal przyznano. Obok tych przejrzystych koronkowych plecionek, ustawione były odlewy gipsowe, zamieszkałego tu od lat wielu Włocha Pasquala Zacchi. Doskonałe te naśladowania antyków, przeznaczone do ozdoby salonów, wykonane są z dokładnością i artyzmem zasługującym na uznanie. Tuż obok malarz i fabrykant godeł sklepowych, p. Szapira, który sztuką swą przyozdabia najpięrsze tutejsze sklepy, wystawił malowniczo ułożone rozmaite godła i odlewy żelazne własnego wyrobu. Szczególniej zaś uwagę ściągają na siebie stoliki marmoryzowane masą wynalazku panny Klein, naśladowujące jaknajwyborniej rozmaite gatunki marmurów i mozaiki. Masą tą można zarówno powlekać drzewo, jak blachę i cegły, i nadawać im pozór najpyszniejszych marmurów, malakitów, alabastru i t. p.; użyta zaś do pociągania ścian, małym kosztem dozwala wspaniale przyozdabiać pomieszkania, a sprzętów i odlewów nią powleczonych, najbiedlejsze oko od marmurowych rozeznacć nie zdoła.

Papiernia czerlańska przysłała w wielkiej ilości rozmaite gatunki owego tyle cierpliwego materiału, który tak powolnie, z taką obojętnością czernieć się dozwala powołanym i niepoważanym. Papiernia czerlańska wyrabia szczególniej doskonałą w swoim rodzaju bibułę, za co otrzymała od komitetu sędziów wystawy list pochwalny.

Założona niedawno tu we Lwowie fabryka pp. Herwke i Arnolda przysłała wyrzynane z drobnych deszczulek drewnianych żaluzje i story do okien w rozmaitych kolorach, odznaczające się nietylko taniością, ale i ozdobnością i dlatego bardzo tu używane.

Zbiór spirytusów krajowych, ustawiony malowniczo we flaszkach z różnobarwnymi etykietami, nęcił ku sobie zwłaszcza znawców, chcących się gruntownie ze stanem gorzelnictwa i rektyfikacyi spirytusów, tęg tak ważnej gałęzi dochodu krajowego, zapoznać, co tęg tak uprzejmie przez gospodarzów wystawy mieli sobie ułatwione, iż ostatniego dnia wszystkie flaszki były próżne. Obok spirytusów toczyło się z beczek tenczyńskie piwo i porter krajowy; na zakąskę były pod ręką wyborne séry p. Andruszewskiego z Porzecza, które w handlu tutejszym uchodzą za szwajcarskie, a wreszcie za wety służyły owoce p. Wincentego Wilczyńskiego, z folwarku zwanego Majerówka pod Lwowem, które celowały pięknością i smakiem pomiędzy owocami znajdującymi się na wystawie.

Aby uzupełnić obraz zajęć naszych w tym miesiacu, nie można tęg pominąć i zabaw zapustnych. Zwykle im kalendarz krótszą zapowie porę zabawy, tęg więcej starają się z nię korzystać. U nas w tym roku przeciwnie, chociaż zapusty aż do marca mają się przeciągnąć. Ludzie bawią się niezmiernie, nie odkładając wesołości na ostatki. Bawi się świat wielki i mały, półświat i ćwierćświat, słowem wszystkie światy i światów ułamki prześcigają się w korzystaniu z uprzywilejowanej pory tańca i rozrywek. Bale i baliki, recepcye, herbaty i pikniki prześcigają się jedne za drugimi; zewsząd dolatuje ucha dźwięk skocznej muzyki i z owych wysokich salonów, gdzie po lśniącym parkiecie przesuwają się stopki ujęte w śnieżnej białości atłasowe trzewiczki, i z owych mniej wysokich, gdzie umieszczony nade drzwiami napis wyraźnie zastrzega, że wstęp bosu zabroniony.

W dziejach tutejszych zapustnych niemałą rolę odgrywają urządzone przez dyrektora teatru niemieckiego bale maskowe. Humbug amerykański na drobną skalę, do naszego małego przykrojony miasteczka, powołany w pomoc przez p. Bluma, ściągają liczną publikę na te bale. Stara on się każdą retdutę urozmaić jakąś niespodzianką, szumnie i ta-

jemniczo zapowiedzianą z góry w afiszu. I tak raz ogłasza że w jednym z paczków sprzedawanych w bufecie znajdzie się dukat w złocie. Jakże nie iść na redutę i nie spróbować szczęścia zalepionego wewnątrz paczka w postaci dukata złotego? Innym razem przyobiecuje nagrodę w dank masce uznanej za najpiękniejszą głosem powszechnym zgromadzonych na reducie gości. Jakże silna do współzawodnictwa pobudka! Nie idzie o nagrodę, ale o palmę pierwszeństwa, o sławę dobrego smaku i wytworności. W tym roku p. Blum inną znów użył sztuki. Zamierzył on uroczy siłą pędzla i dłuta, wzięwszy w pomoc sztukę dekoratora i bujną wyobraźnię widzów, przeprowadzić publicznie tutejszą przez wszystkie części świata, każdej odsonić uroczę powaby i właściwości. Bal pierwszy odbył się w sali teatralnej, przyozdobionej całkowicie po europejsku; cztery rzędy łóż zapelnionych pięć piękną wydawały się jak cztery wieńce z różnobarwnych kwiatów splecione ku przyozdobieniu sali, a snujące się dołem maski przypominały iż znajdujemy się pośród ucywilizowanego społeczeństwa tej Europy, gdzie tyle spotyka się masek usiłujących ukryć prawdziwą myśl i uczucie. Ale na drugim za to balu przeniósł p. Blum publicznie w dziewicze lasy amerykańskie, na łono bogatej, przepysznej, ale niestęty! tym razem malowanej i naśladowanej tylko przyrody. Sala balowa zmieniona została w lasy dzikim przepelnione zwierzem, gdzie pantery, tygrysy i hyeny iskrzącym na przechodniów poglądały ślepiem i krwiożercze kły wyszczerzały; na drzewach skoczne kołysały się małpeczki; z pomiędzy liścia różnopióre przeblyskiwały papugi; lwy wypchane pilnowały wniścia do górnych piątr, a zawieszony smok olbrzymi, buchał osiemdziesiątą płomieni gazowych, rozlewając morze światła po tajemniczej dziewiczych lasów gęstwinie. Przed końcem zapust mamy jeszcze nadzieję zwiędzić tym sposobem Afrykę i Australię; ale że nie jestem szczególniejszym podobnych podróży miłośnikiem, przebaczenie jeżeli o nich zamilczę.

Zawiazuje się tu Towarzystwo lekarzy, na wzór Towarzystw podobnych istniejących gdzieindziej. Towarzystwo to będzie miało podwójne zadanie. Głównym celem jego ma być popieranie postępu nauki lekarskiej, przez udzielanie sobie wzajemnych spstrzeżeń, zebranych na polu praktyki lekarskiej, wydawanie pisma medycznego i t. p. Drugim celem jest niesienie pomocy podupadłym nie z własnej winy lekarzom, tudzież pozostałym po nich wdowom i sierotom. Każdy z członków, oprócz kilkudziesięciu złotych opłaty wstępnej, obowiązują się składać na fundusz Towarzystwa pewien odsetek od swego rocznego dochodu, którego wysokość sam oznacza. Warunki przystąpienia nieuciążliwe, już tęp samem że każdy sam wedle uznania swego je sobie naznacza, a skutki dobroczynne, skoro małym stosunkowo datkiem można zapewnić sobie wsparcie na stare lata i zabezpieczyć los żony i dzieci. Wykonaniem tej myśli zajęli się lekarze miejscowi, pp. Maciejowski i Głowacki. W ubiegłym tygodniu wezwani zostali wszyscy lekarze tutejsi na posiedzenie w sali radnej, na którym odczytano projekt statutów. Ten został wydrukowany i rozrządzony obecnym, a dnia 1 marca postanowiono zebrać się powtórnie i wziąć projekt pod obrady, poczem będzie przedłożony do zatwierdzenia rządu.

Zwrócono też ostatnimi czasy uwagę na pomniki starożytne, znajdujące się w podziemiach kościoła dominikańskiego. Jest ich sześć, a wszystkie pochodzą z początków siedemnastego wieku i są dziełem znakomitego dłuta. Podziemia kościoła oo. dominikanów były dawniej użyte na rozmaite składy, przez co i pomniki owe, popadły w zaniedbanie, mocno zostały uszkodzone. Obecnie powzięto myśl restauracji tych cennych sztuki zabytków i poruczone tę pracę p. Filipiemu, który ukończywszy właśnie odnowę pomników w kościele żółkiewskim, przybył do Lwowa i stale tu osiąść zamierza. Po ukończonej restauracji, pomniki dominikańskie będą ustawione w stosownym miejscu w kościele. Poniesienia kosztów odnowy nagrobka Wacława Dzieduszyckiego, podjął się jeden z potomków tej rodziny. Resztę kosztów dostarczy otwarta w tym celu składka, którą się zajmuje p. Sermak, rządowy konserwator zabytków starożytnych. Muzyk i

kompozytor tutejszy, p. Guniewicz, urządził na ten cel koncert, wystawiając własnego utworu oratorium z chórami i deklamacją pod tytułem: *Nad rzekami Babilonu*, do którego słowa ułożył p. Aureli Urbański. Piękne to dzieło muzyczne bardzo się podobało artystycznemu światu tutejszemu i będzie w przyszłym tygodniu powtórzone. Wszystkie miejsca w teatrze na ten koncert są już z góry zamówione.

Ze świata muzycznego.

Koncert H. Litolffa—Pan Górski.

Henryk Litolff dał przeszłej niedzieli koncert, którego program składał się z samych prawie utworów koncertanta. Znamy go wybornie, boć nie godziłoby się nie znać Litolffa, tem bardziej, że bawił niegdyś w naszym mieście przez czas dosyć długi. Artysta ten, dawniej i ustalonej już sławy, wybrał nam piękne rzeczy z szeregu swoich prac, a także i własnej gry nie poskapił. Jak go sądzić? Trudność tu podwójna. Egzekutor i kompozytor jednocześnie stanął przed nami, z równą siłą zasługi. Pierwszy niekonięcznie wymaga sądu; już o nim nie nowego powiedzieć się nie da.

Bądź co bądź, Litolff ovladnął instrument swój całkowicie, a wybiwszy się ponad trudności, osobistością własną nad niemi góruje i jest w całym znaczeniu tego wyrazu *wykonawcą*; a wykonawca w szerszym znaczeniu winien czuć pierśią twórcy, bo inaczej skarykaturuje utwór, lub go w setnej zaledwo części uroków słuchaczom poda. Więc mu nadto potrzeba absolutnej władzy nad instrumentem, tyranii nieledwie, pod wpływem której posłuszny panu swemu niewolnik, nauczyły się odpowiadać zarówno najłżejszemu błyskowi jego fantazy, jak nieokreślonym porywom rozlewającej się na wszystko potęgi ducha. Łatwo zrozumieć, że w tym dopięro razie koncertant łączy w sobie wszystkie przymioty doskonałego wykonawcy, a instrument staje się tylko niezbędnym środkiem, o którym słuchaczom wolno zapominać, jak o jego trudnościach zapomina egzekutor. Więc mało nam tu chodzi o Litolffa-fortepianistę, bo mamy przed sobą artystę w ogólnym znaczeniu, a co więcej, artystyczną jego indywidualność. Tej się przypatrzmy bliżej i z niej go tylko cheiśmy sądzić.

Litolff jest nadto kompozytorem. W tym charakterze osobistość jego wybija się jeszcze wyraźniej. Z utworów które wykonał na koncercie, można go poznać dostatecznie, by go sobie scharakteryzować. Znać tu niepospolitość szczególną, jednostkę wyłączną, która w objawach swoich idzie za poglądem własnej natury. W kompozycjach Litolffa niema krepowania się i umiarkowania; jest potęgą siły i rzutkości, mimo artystycznego poszanowania formy, i to dowodzi wysokiego ovladnięcia teorii, na korzyść samodzielnego pojawu ducha. Gdyby Litolff był malarzem, niezawodnieby malował kolosalne postacie, pełne tragicznej akcji i życia, a gdyby był poetą, pisałby krwawe ballady. Tam nawet, gdzie jest rzewny, znać że to lzy męzkie i że się ów płaczący rychło ze smutku otrząśnie, by się chwycić czynu i pójść na przebój. Już to takie usposobienie, albo raczej wewnętrzna natura Litolffa. Zdawałoby się że niema u niego przejść i półśrodków, ale jest krańcowość tylko. I taki też charakter człowieka, wytworzył odpowiedniego artystę. Sztuka przedewszystkiem i tylko sztuka; to cel wybrany, jedyny, najdoskonalszy. Dla sztuki oddaje on siebie całego, swoją myśl, swoje uczucie, swoją duszę. Widać to gdy siądzie przy fortepianie, lub gdy z pałeczką w rękę dyryguje orkiestrze. Znać tu we wszystkiem przejęciu się nawskróś przedmiotem, więc potęgę, samodzielność, oryginalność.

Takim jest Litolff, jeżeliśmy go potrafili uchwycić w ciasne ramki naszej charakterystyki.

Dla nas stał on się z innego jeszcze względu sympatycznym, powołał bowiem do współudziału w swoim koncercie pana Władysława Górskiego, ucznia klasy skrzypcowej w tutejszym Instytucie muzycznym. Zkąd, spytacie, taka sympatya? Odpowiedź łatwa. Zważcie proszę, że p. Górski nie wyjeżdżał

za granicę po naukę, ale kształcił się w kraju, z podwójną, potrójną może pracą. Zważcie i to, że dotąd, jakkolwiek występował z powodzeniem w kilku koncertach, przecież nie zyskał sobie jeszcze bezwzględne uznania, a nadto jest uczniem. Wszystko to tak mało!... A przecież Litolff nie krepował się temi względami, przeciwnie, sądził może iż młodzieńcze kroki najwłaściwiej opróżnić należy świetnością mistrzów, przy blasku której zwyczajni śmiertelnicy zdobędą się łatwiej na należy poklask. Litolff zna ciernistą drogę artystycznego żywota, więc dla młodszych potrafi być życzliwym. Za tę życzliwość dla pana Górskiego wdzięczność mu się należy od nas, boć przecież młody artysta tu wzrósł, tu się wykształcił i bez obcej pomocy stanął na tym stopniu, że nie rumienił się przy boku mistrza, a świetności koncertu odpowiedział zaszczytnie. Zważyć także należy że utwór jaki wykonał liczy się do najtrudniejszych. Koncert Litolffa na skrzypce (Eroica) należy do kompozycji, dla wykonania których jaka taka biegłość i zrozumienie rzeczy nie wystarczają. Trzeba tutaj być czemś więcej jak uczniem, trzeba być artystą, i nie skąpmi tego miana panu Górskiemu, którego nadto, jak się dowiadujemy, Litolff zaprosił na zamierzony wieczorek koncert swój do Paryża. Zaszczycy to nie lada, i życzymy serdecznie panu Górskiemu, by urzędystwienie chęci Litolffa przyniosło mu uznanie Paryża.

Później jakoś to już u siebie pójdzie łatwiej, gdy Paryż dla nas jest Delfami.



Szanownych czytelników i czytelniczki nasze, tak w Warszawie jak i na prowincji lub w cesarstwie, upraszamy najuprzejmiej o nadsyłanie redakcji materiału do kroniki tygodniowej. Materiałem tym mogą być wszelkie fakta odnoszące się do stosunków społecznych i obyczajowych, do literatury, sztuki, przemysłu i t. d. Nie idzie tu wcale o obrobienie stylowe, tylko o doniesienie samego faktu, z zaręceniem za jego wiarygodność; korzystanie zaś z takich doniesień w sposób właściwy, będzie już wyłącznie rzeczą redakcyi.

Podobnie raz jeszcze przypominamy, że redakcyi nadsyłanych sobie rękopisów i materiałów rysunkowych zwracać nie obowiązują się, oraz że nadsyłający, o ile nie są stałymi współpracownikami naszego pisma, w takim tylko razie mieć mogą prawo do honorarium, jeżeli przy przesyłce artykułu, rysunku i t. p. wyraźnie to sobie zastrzegą.

Panu J. N. uczniowi gimnazjum I. Wszystkie prawie mylne rozwiązania końcówki p. Winawera takie same były jak pańskie. Błąd polega tu na tęp, że czarne w 2ém posunięciu nie potrzebują zasłonić się zaraz chłopem E3, lecz zasłaniają się najprzód królową (C8—C2), przez co ma nastąpić dopięro za 5ém posunięciem. Zupełnie także płonnym jest zarzut pański, zrobiony rozwiązaniu p. Winawera, że po rozszowaniu białego króla, czarne zabracz powinny nieprzyjacielską królową (G4—H5; po takim bowiem posunięciu, lub po jakim-bądź inném, dostałyby zaraz mata laurem (C4—E2). Jest to rzecz tak widoczna, że nie uważaliśmy nawet za potrzebne wspomnieć o tęp w rozwiązaniu.

Panu J. O. B. w Waszkowcach. Z wypisanego w liście urywku niewiele osądzić możemy. Prosimy o nadesłanie innych próbek, raczej prozą niż wierszem.

Panu J. F. w Warszawie. W zadaniu 1ém koń biały niepotrzebnie znajduje się na szachownicy, bo i bez niego jest innym sposobem mat w 5ém posunięciu; zadanie zaś 2gie za nadto jest łatwe.

Panu A. R. w Ilży. Na zapytanie pańskie co znaczy podpis pod drzeworytem zamieszczonym w Nrze 385 Tygodnika „Zameczysko nad jeziorem Hańcza,” skoro na rycinie żadnych śladów ruin starego zamku nie widać — odpowiadamy: że wyraz *zameczysko* w archeologii znaczy miejsce gdzie był kiedyś zamek. Jest to zresztą zgodne zupełnie z naturą naszego języka, w którym *ognisko*, *bojowisko*, *pogorzelsko* oznaczają także miejsca gdzie był ogień, bój lub pogorzec. Nie trzeba tylko wyrazu *zameczysko* brać tu za zgrubienie rzeczownika *zamek*.